NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor 6·25 Półrocznie kor. 12·50. Rocznie kor. 25. — Do Niemiec: Kwartalnie 6 kor. 90 hal. Półrocznie 13 kor. 80 hal. Rocznie 27 kor. 60 hal z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 7 kor. 55 hal Półrocznie 15 kor. 10 hal. Rocznie 30 kor. 20 hal., z przesyłką poczt

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny)

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 50 halerzy.

Rok XIV. Kraków, 11. sierpnia 1917. Nr. 32.

Parcie na Wschód.



Niemiecka kompania honorowa defiluje przed cesarzem Karolem w oswobodzonym Tarnopolu.

Parcie na Wschód.

Niewiele więcej niż trzy tygodmie trwa ofenzywa wojsk mocarstw centralnych we wschodniej



Największa bitwa świata: Pod ogniem angielskich granatów. (Fot. Bufa)

Galicyi, a jednak — przez ten krótki czas zmieniła ona gruutownie kartę zdobyczy wojennych i wpłynęła na dalszy obrót wojny. Niemałym jej rezultatem jest wyparcie Rosyan z Galicyi i Bukowiny, co mocarstwa centralne zwolniło z jedynego znaczniejszego „zastawu“ terytoryalnego, pozostającego w rękach nieprzyjacielskich. Jeszcze większym wszakże — rozbicie całego skrzydła południowego rosyjskiego frontu, rozproszenie lub wzięcie w niewolę broniących go armii, a tem samem otwarcie bramy do spichlerza Rosyi i Europy — czarnoziemnej, urodzajnej Ukrainy. To ostatnie może mieć większe znaczenie, niż się powszechnie przypuszcza, a zdają sobie z tego sprawę przedewszystkiem sami Rosyanie.

W „Russkim Inwalidzie“ wybitny członek rosyjskiego sztabu generalnego, pułkownik Andogski, jeszcze przed rozpoczęciem kontrofenzywy mocarstw centralnych przepowiedział ją, nawiązując do swojej przepowiedni ciekawe uwagi co do jej przyczyn, skutków i celów. Oświadczył on między innemi:

„W związku z coraz większym brakiem środków żywności w Niemczech i Austro-Węgrzech, sztab generalny sprzymierzonych z pewnością zwróci uwagę na nasze żyzne południe i spróbuje energiczną ofenzywą opanować obszary na południe od Polesia aż do Dniestru. W tych obszarach poza naszym frontem znajdują się przedewszystkiem gubernie: Wołyń, Podole i Bessarabia, a dalej gubernia kijowska i chersońska, do których wprost przytykają gubernie: jekaterynosławska i taurydzka.

Według ilości rocznych plonów zboża, cały ten obszar rozpada się na dwie części, nie przedstawiające dla naszych nieprzyjaciół jednakowego interesu. Północny pas mniej obfituje w zboże, szczególnie tam, gdzie zbliża się do frontu bojowego, to jest w gubernii wołyńskiej i podolskiej; tylko w okolicach, bliżej Dniestru, to jest w gubernii kijowskiej i północnej chersońskiej, mogłyby państwa centralne znaleźć nadwyżkę. Do części południowej należą także gubnrnie, bessarabska i południowa chersońska. Te są znów tak bogate, że w normalnym czasie wywożą nadmiar swego żniwa przez Odessę. Aby sobie wyrobić obraz zapasów zboża w tych okolicach, dość powiedzieć, że, według dat centralnego komitetu statystyaznego z 1. listopada 1916 roku, wolnych dla handlu było na Wołyniu 1.148 ton zboża, na Podolu 8.200, w Kijowie 17.200, w Bessarabii 37.228, w Chersonie 151.184, w Jekaterynosławiu 104.960, w Tauryi 130.500. Za wschodnią granicę tego obszaru uważa się Dniepr. Podkreślić należy, że to były ilości zboża, oddane do handlu 1. listopada 1916 roku. Gdyby mocarstwa centralne zajęły te obszary natychmiast po żniwach, cała powyższa cyfra zostałaby oczywiście o wiele przekroczona. W roku 1914 zebrano tam 11.6 milionów ton zboża. Teraz dostałyby się one zwycięzcy. Wynika stąd, że ofenzywa sprzymierzonych musiałaby się rozpocząć natychmiast po żniwach, to jest w lipcu.“

To studyum militarne rosyjskiego pułkownika wytyka kontrofenzywie mocarstw centralnych wielkie cele i otwiera przed nią rozległe perspektywy, nie obce oczywiście i naszym generalnym sztabom.



Z ruchu oświatowego w Zamojszczyźnie: Typ mundurka uczniowskiego w gimn. real. i seminaryum w Zamościu.

Spełniło się przewidywanie pułkownika Andogskiego, że ofenzywa ta rozpocząć się musi w lipcu. Skuteczność zaś, z jaką się ona rozwinęła, przewyższa zapewne o wiele jego oczekiwania. Przełamania frontu rosyjskiego dokonano na szerokości dwudziestu kilometrów, a teraz armie mocarstw centralnych prą przed sobą pułki rosyjskie na przestrzeni, około czterysta kilometrów szerokiej, zrobiwszy w niektórych miejscach około stopięćdziesiąt kilo-





Parcie na Wschód:

Cesarz Karol rozmawia z wojskami atakowemi.

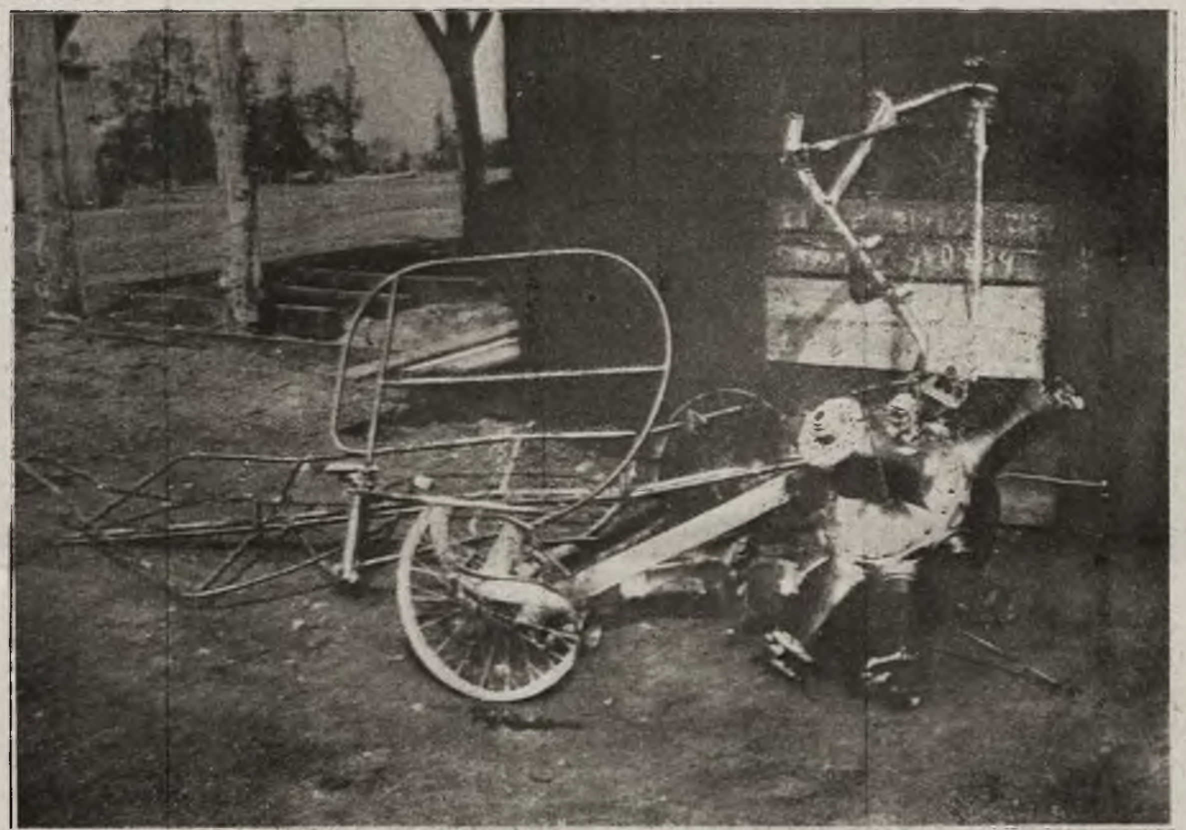
Gen. Arz, (XX) szef austryackiego sztabu generalnego; (X) generał kwatermistrz niemiecki Ludendorf.

metrów w głąb. Galicya jest już wolna, Bukowina również, w wielu miejscach armie niemieckie i austryackie stoją na terytoryum rosyjskiem. W jakim kierunku pójdą dalej — jest kwestyą ze wszech miar interesującą. Pułkownik Andogski tak ją rozstrzyga:

„Aby zdobyć najurodzajniejsze obszary, musieliby sprzymierzeni skierować swój główny cios na obszar Bałta—Odessa. Tego mogą dokazać, atakując całą swoją główną siłą od swojego frontu rumuńskiego. Ale ten atak sam nie wystarczy, ponieważ wypadające stamtąd części wojska mocarstw centralnych mogłyby w kierunku od Kijowa być zaatakowane przez wojska rosyjskie od flanki i z tyłu. Aby temu przeszkodzić, musiałyby armie państw centralnych uderzyć także z obszaru lwowskiego w kierunku na Kijów. Zabezpieczyłyby przez to północną flankę sprzymierzonych, ponieważ na północ od linii Lwów—Kijów leży obfite w bagna, a ubogie w drogi Polesie, które nie pozwala na skupienie większych rosyjskich ciał wojskowych do uderzenia przez Kijów i na południe stamtąd. Zdobycie Kijowa zaś byłoby dla sprzymierzonych nader ważnem także ze stanowiska wojskowo-politycznego".



Z polskich oper: Fenomenalny tenor warszawski p. Gruszczyński w „Pajacach".



Największa bitwa świata: Resztki zestrzelonego francuskiego aeroplanu.

Pułkownik Andogski wkońcu twierdzi, że w pośrodku między postępującemi naprzód kolumnami wojsk Lwów—Kijów i Bukareszt—Odessa powinna się odbyć jeszcze trzecia ofenzywa, naprzykład od Stanisławowa ku Żmerynce.

To jego ostatnie przewidywanie sprawdziło się już — ofenzywa od Stanisławowa rozpoczęła się i to bardzo silnie, może silniej, niż na obu skrzydłach. Wogóle studyum to rosyjskiego pułkownika okazało się bardzo bystrem — a parcie mocarstw centralnych na wschód silniejszem, niż to on sam, pisząc swój artykuł w charakterze przestrogi, przewidywał. Czy się sprawdzą także dalsze jego przewidywania — czy armie mocarstw centralnych dojdą szerokim frontem aż do Dniepru i Czarnego morza, aby zebrać bogate żniwo — to zależy nie tylko od ich naporu, ale także od siły oporu bardzo obecnie rozluźnionej i rozbitej armii rosyjskiej. W każdym razie to skuteczne parcie na wschód wywrze wpływ olbrzymi na dalszy przebieg wojny światowej.

Z polskich oper.

Obecnie w operze warszawskiej na pierwszym planie powodzenia i na szczytach istotnego artyzmu stanęły dwie znakomitości śpiewacze: primadonna Marya Mokrzycka i tenor Stanisław Gruszczyński. O pierwszej wiadomo już dostatecznie, jakiej miary jest artystką. Drugiego jednak, śpiewaka młodego, choć nie szczędzą mu teraz wyrazów uznania, istotną miarę talentu poznano u nas dopiero drogą na zagranicę, jak to u nas, niestety, bywa prawie zawsze, a bardzo często niestety — zapóźno. „Odkrycie" tego śpiewaka dla Polski dokonane zostało niedawno w sposób następujący:

Parę tygodni temu doniosły dzienniki, że w nadwornej operze berlińskiej po raz pierwszy od jej istnienia rozlegał się ze sceny język polski i stare mury budowli Fryderyka trzęsły się od grzmotu





Parcie na Wschód:

Kościół O. O. Dominikanów w Tarnopolu

Wnętrze kopuły kościoła O. O. Dominikanów w Tarnopolu, freski St. Stroińskiego z połowy XVIII w.



Parcie na Wschód: Plac „Austria“ w Czerniowcach.



Z działalności kulturalnej na prowincyi w Królestwie: Grupa uczestników kursu w Boszczynku.

oklasków, którymi publiczność dziękowała za śpiew w naszej mowie. Cudotwórcami, którzy dokonali tego niezwykłego dzieła, byli śpiewacy polscy: dobrze znana w Krakowie p. Janina Gołkowska i młody tenor bohaterski opery warszawskiej Stanisław Gruszczyński. Ten drugi, znany dotąd i popularny tylko w swoim rodzinnem mieście, tym jednym występem stał się śpiewakiem międzynarodowej sławy. Odrazu w najbliższym sezonie ma p. Gruszczyński śpiewać w kilkudziesięciu miastach niemieckich, które wszystkie przyjęły warunek, że śpiewać będzie znowu tylko po polsku. Jesteśmy świadkami początków świetnej karyery śpiewackiej, takiej, jakie zdarzają się raz na kilkadziesiąt lat.



Największa bitwa świata: Ostrzeliwana wieś we Flandryi. (Fot. Bufa).



Największa bitwa świata: Pod ogniem angielskich granatów. (Fot. Bufa).

Rzadkiej piękności głos, czysty tenor bohaterski, męska postawa i naturalny talent dramatyczny, zdumiewający u śpiewaka pracującego na scenie niespełna trzy lata, oto warunki, na których opierają się horoskopy co do świetnej przyszłości tego artysty. Naturalnie głos odgrywa w nich pierwszą rolę i zapomocą tego głosu młody polski tenor stanie może w rzędzie Mierzwińskich, Reszków i t. d., którymi tak długo zachwycały się różne zagranice, a tak mało kraj. Co do Gruszczyńskiego jednak, to mają go jeszcze polskie opery — na razie Warszawa, a należy przypuszczać, że da się on słyszeć i w Krakowie.

Z wojny na morzach.

Obok wielkich bitw lądowych nie ustaje też i wojna na morzach, choć zakres jej obecnie jest o wiele skromniejszy. Przeważnie ogranicza się on do niszczenia przez łodzie podwodne niemieckie i austryackie floty handlowej koalicyi, od czasu do czasu zaś nawet zatopienia jakiegoś okrętu wojennego, który się niebacznie nawinie im pod torpedę. Jest to działanie tak skuteczne i tak dla potęgi koalicyi, a zwłaszcza Anglii niebezpieczne, że obecnie Anglicy rozpoczęli olbrzymią bitwę we Flandryi, aby zniszczyć tam się znajdującą podstawę oparcia dla łodzi podwodnych. Oczywiście Anglicy, obok tego próbują również działać łodziami podwodnemi, ale ta ich działalność musi być z konieczności ograniczona, wskutek nieznacznej ilości okrętów niemieckich wyjeżdżających na morze. Pomimo to nawet budują oni nowe okręty podmorskie, licząc widocznie na przyszłość...



Z polskich oper: Tenor Gruszczyński jako Lohengrin

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

10

— Czy to inżynier?...

— Inżynier?... Chyba nie. Nic o tem nie mówił. A dlaczego się pytasz?

— Bo ja tego pana widziałam w Pradze. Tam uchodził za inżyniera.

— No, to może jest inżynierem. Czy ja wiem.

— Ale, Lolu — tam ludzie tacy, którym można wierzyć, mówili o nim jakieś niedobre rzeczy!... Możebyś ostrzegła matkę...

— Dziękuję ci! Świetne masz pomysły!... Żeby mnie mama tak zmyła, jak ciebie!... Nie głupiam! Co nam zresztą do tego, że ktoś o nim coś mówił... Czynsz zapłacił za rok z góry!...

Józia znowu umilkła, pobita takim rozstrzygającym argumentem.

— No, wynoszę się, bo chcę się przedrzemać trochę po tym burzliwym obiedzie — powiedziała Lola, podnosząc się z kanapy — a tobie, Józiu, radzę, jako szczerze ci życzliwa, żebyś była trochę mniej w gorącej wodzie kąpana... I Konrad będzie z tego bardziej zadowolony...

Po wyjściu Loli, Józia spojrzeniem wielkiej miłości i tęsknoty ogarnęła dużą, ustawioną w ramkach na stoliku fotografię Konrada.

— Czy onby mnie pochwalił za to, co zrobiłam, czy zganił? — biła się z myślami i nie mogła znaleźć odpowiedzi.

Dała wreszcie za wygraną niewczesnym refleksyom, wyjęła z teczki arkusik listowego papieru i zaczęła pisać list do męża.

Pisała długo, serdecznem uczuciem przepajając każde słowo, ale nie wspominała mu nic o tem, że jej jest w jego rodzinnym domu źle i smutno, że czuje się bardzo obca i bardzo samotna.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

— Lolu, powiedz Józefie, żeby spakowała swoje rzeczy. Przeniesie się do innego pokoju.

— Dlaczego? — zdziwiła się córka.

— Bo ten pokój musi być gruntownie odświeżony.

— Ależ... dopiero niedawno dawało się tam nowe tapety... i sufit jest przemalowany...

— Moja kochana, czy ja się ciebie pytam o to?! — zagadnęła ostro pani Żarnicka, ale Lola tym razem nie dała się jakoś odrazu stropić.

— A który pokój mamusia przeznacza dla Konradowej? — podkreśliła głosem słowo: Konradowej.

— Ten w korytarzu...

— Co? Tę dziurę ciemną koło kuchni z oknem na cuchnące podwórze?...

— Przedewszystkiem podwórze w moim domu nie cuchnie!...

— Ale też i nie pachnie, jak bukiet róż! — zbuntowała się nagle Lola.

— Czy to od twojej bratowej nauczyłaś się w ten sposób odpowiadać matce?! I ty sądzisz, że ja na to pozwolę?!

— Ale, mamo, bo doprawdy... Co mama zamierza zrobić! To przecież nie uchodzi!... Choćby wobec służby i znajomych!

— Cicho bądź!

— I co Konrad na to powie!... Jeżeli Józia mu napisze...

Coś, jakby lekkie wahanie, odmalowało się na twarzy pani Żarnickiej. Była to jednak krótka chwila, wyraz nieugiętej stanowczości stężył znowu twardo rzeźbione rysy matki Konrada.

Nie nawykła do tego, by cofać swoje rozkazy i rozporządzenia.

— Tak będzie, jak powiedziałam. Natychmiast masz iść i oznajmić to twojej bratowej. Inaczej poślę służącą.

— Przecież nasze mieszkanie jest dosyć obszerne... Jeżeli mama pozwoli, to Józia może tymczasowo zamieszkać ze mną...

— Słyszałaś, co mówiłam?!

— Słyszałam, ale mama daruje, że ja tego Józi nie powtórzę. Niech jej służąca zaniesie rozporządzenie tej translokacyi.

Pani Żarnicka wstała z krzesła, zbliżyła się do córki i spojrzała jej bystro w oczy.

— Słuchaj — powiedziała przyciszonym głosem — byłaś dzisiaj bardzo harda i nie tak powinnam mówić z tobą... Ale jesteś mojem dzieckiem, więc daruję ci, bo widzę, że ciebie tak samo, jak Konrada, zaczarowała ta intrygantka...

— Mamusiu, Józia nie jest intrygantką! Mamusia jej doprawdy nie zna!...

— Cicho bądź, nie przerywaj! To ty jej nie znasz!... Jako matka ostrzegam cię, miej się na baczności przed tą syreną... Przyjdzie czas, może prędko nawet bardzo, kiedy się przekonasz, co warte jest to niby niewiniątko ze swojemi słodkiemi minkami!... Strzeż się jej i trzymaj się od niej zdaleka!... To stworzenie ma truciznę — w swoich, przyznaję, że pięknych — oczach!...

Matka wyszła z pokoju, pozostawiając córkę trochę zastraszoną tą niejasną, a jednak groźną przestrogą.

— Co mama miała na myśli?... Coby mi ta Bogu ducha winna Józia zrobić mogła?... O! nie cierpi jej mama i chciałaby mnie od niej odciągnąć — zadecydowała po chwili namysłu dziewczyna i uspokoiła się.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Kiedy Joasia ze zjadliwym uśmieszkiem i ironicznem spojrzeniem oznajmiła Józi, że ma się przenieść do innego pokoju — młoda kobieta przyjęła to niespodziane rozporządzenie zrazu najzupełniej obojętnie.

Było jej to przecież wszystko jedno, w jakim pokoju mieszkać będzie.

Zdziwiły ją trochę te przenosiny, ale nie zaniepokoiły.

Zebrała swoje rzeczy i poszła obejrzeć nowe mieszkanie.

Skoro jednak znalazła się w ciasnej, dusznej, ciemnawej ciupce z ordynarnie malowanemi ścianami i umeblowanej bardzo prymitywnie — oczy jej błysnęły gniewnie i buntowniczo.

— Nie! Tego już zadużo! Nie pozwolę tak poniewierać sobą!... Nie mogę pozwolić, jako żona Konrada!...

Z krwistymi wypiekami na policzkach, z błyszczącemi gniewnie oczyma, z drgającemi nerwowo nozdrzami i z wielkiem oburzeniem w sercu Józia poszła prosto i śmiało do teściowej.

— Proszę mamy — zaczęła tonem tak śmiałym i pewnym, jakim nie przemawiała nigdy do matki męża — czy pokój, który zajmowałam razem z Konradem, musi być koniecznie teraz odświeżany?

Pani Żarnicka spostrzegła zmianę w tonie i zachowaniu się synowej. Postanowiła zmiażdżyć odrazu opór, który przeczuwała.

— Tak jest. Słyszałaś przecie — powiedziała bardzo ostro. — Masz się zastosować do tego.

Miała tak groźnie błyszczące oczy i tak stanowczą minę, że Józia kiedyindziej cofnęłaby się odrazu przerażona.

Dzisiaj jednak wyczerpała się jej ustępliwość, a pod wpływem nazbyt dotkliwej urazy brała górę wybuchowa, popędliwa natura.

— W takim razie proszę o wyznaczenie mi innego przyzwoitego pokoju, bo w tej ciupie koło kuchni mieszkać nie będę — powiedziała tak głośno i dobitnie, że aż sama nie poznała swego głosu.

Zwój koronki, którą pani Żarnicka dziergała szydełkiem, potoczył się nagle z jej kolan na ziemię.

Zerwała się i, ciężko dysząc przez chwilę, nie mogła wypowiedzieć słowa.

— Co?! Co?! — zawołała, odzyskując głos — Jak śmiesz!... Coś powiedziała?!

— Że tam mieszkać nie będę, bo nie wypada mi, jako żonie Konrada!...

— Ty!... Ty!... Darmozjadzie!... Intruzie!... Nędzarko!... Ty mi będziesz w moim domu robiła przepisy?! Jeżeli ci się nie podoba, to się wynoś na ulicę!...

— Dobrze! Pójdę! — powiedziała Józia blada, drżąca, ale spokojna.

Zwróciła się ku drzwiom.

Spokojne słowa synowej podziałały na rozgniewaną kobietę, jak zimny tusz.

Spostrzegła, że zanadto pozwoliła opanować się gniewowi i pożałowała swojego uniesienia.

Co będzie, jeżeli Józia rzeczywiście pójdzie teraz z jej domu? O! Na to zawcześnie jeszcze — stanowczo zawcześnie!... Konrad na to nie przygotowany!

— Ta waryatka doprawdy gotowa to zrobić — pomyślała pani Żarnicka.

— Poczekaj! — zawołała tak nakazująco, że Józia, która już brała ręką za klamkę, zatrzymała się.

— Wolno wiedzieć, dokąd się wybierasz? — zapytała ze zjadliwym uśmiechem, ale panując już nad sobą.

— To chyba pani wszystko jedno — powiedziała cicho synowa. Nie nazywała już Żarnickiej — mamą.

— No, niezupełnie wszystko jedno. Domyślam się, że ci się sprzykrzyło przyzwoite, regularne życie i radabyś zakosztować trochę awanturniczych przygód i odgrywać przytem rolę ofiary!... Dla ciebie skandal nie pierwszyzna! Może jednak zechcesz pamiętać o tem, że nosisz obecnie nazwisko Żarnickich.

— Ja właśnie pamiętam o tem.

— Zatem... — pani Żarnicka podjęła porzuconą szydełkową robotę i z największym spokojem poczęła rozplątywać nici — jeżeli ci tak bardzo zależy na tym pokoju, to mieszkaj sobie tam dalej. Robię to ustępstwo nie dla ciebie, ale dla mojego syna.

— Wiem o tem.

— To dobrze, że wiesz. Ale ty pewno nie omieszkasz turbować głowę Konradowi twojemi rzekomemi krzywdami. Ale bądź pewna, że ja na to znajdę środki i nie pozwolę, żebyś mnie poróżniła ze synem...

— Nie mam wcale tego zamiaru. Jabym miała niepokoić i martwić Konrada?!... — zawołała Józia z taką siłą szczerości w głosie, że świekra jej uwierzyła.

— Ona jest jednak głupszą, niż przypuszczałam — pomyślała pani Żarnicka, a głośno powiedziała:

— Nie mamy sobie już chyba nic więcej do powiedzenia.

Józia cicho wysunęła się. Poszła do swego pokoju, który jej teraz dziwnie obrzydł, i rzuciła się twarzą na poduszki łóżka. Wyczerpała się jej chwilowa energia, a objął ją w posiadanie żal — bezradny żal prześladowanego, krzywdzonego dziecka.

Gorące łzy jęły zwilżać cienkie, białe płótno poszewek.

— Józiu! Jesteś tutaj? — zawołała Lola, wbiegając szybko. — Beczysz!... Niema czego!... Świetnie postawiłaś się mamie! Wprawdzie jest wściekła na ciebie, ale trochę więcej — czy trochę mniej — to już wszystko jedno!... A będzie przynajmniej musiała liczyć się choć trochę z tobą, kiedy się przekonała, że nie jesteś takiem znów potulnem cielęciem!... No! Nie płacz-że, jak dzieciak... Podnieś łebek!...

— Lolu! — jęknęła Józia i podniosła twarz, zalaną łzami — ja nie mam sił do takiej walki! Mój Boże, co ja pocznę!...

ROZDZIAŁ VI.

Niebo różowiło się już łuną zachodu, kiedy Józia wracała z zamiejskiego spaceru.

Miała świeże rumieńce, wesołe oczy, uśmiech ożywienia na ustach — włosy w nieładzie rozrzucone i kapelusz przekrzywiony; co jej nadawało wygląd trochę łobuzerski.

Obiema rękami podtrzymywała wielką wiąź dzikich kwiatów, topiąc co chwila swój zgrabny nosek w powodzi różnorodnych kieliszków, dzwoneczków, łodyżek.

Żółte, pełne jaskry, białe, delikatne zawilce, lepkie, wonne smółki, złote pierwiosnki o brzoskwiniowym zapachu, błękitne oczka niezapominajek, smukłe, gwiaździste rumianki — wszystko w tej spóźnionej wiośnie, gorące lato w pełni przypominającej — razem nagle wyjrzało i rozkwitło.

Józia bukiet swój przyozdobiła delikatną koronką młodziutkich paproci i wysokiemi kiściami jakichś puszystych traw. Cieszyła teraz wzrok tą plątaniną barw i kształtów, chłonęła w siebie ożywczą woń, jaką tchną pola, łąki i lasy.

Wyrwała się z dusznego mieszkania Żarnickich na tę przechadzkę, jak się wyrywa więzień na swobodę.

Namawiała Lolę, żeby z nią poszła, ale panna Żarnicka nie chciała. Powiedziała, że nie lubi włóczyć się po „wertepach" — bo to nic zajmującego.

— Zmęczę się, zgrzeję, opalę, buciki uroszę, suknię zniszczę i co mi po tem? — mówiła.

— Czy nie lubisz słońca, szerokiej przestrzeni, kwiatów? — pytała bratowa.

— Słońce mnie męczy, a spacerować lubię po pięknym, cienistym parku, gdzie są wygodne drogi... kwiaty... no, mój Boże... przedewszystkiem te przeceniane polne kwiaty to po większej części śmiecie, a powtóre, choćby nawet były

piękne, żebym ja się miała uganiać za jakimiś badylami... Nie! Dziękuję... Jestem na to zbyt wygodnicka i za mało sielankowa... Powiem ogrodnikowi słowo, a przyniesie mi najpiękniejszych kwiatów...

— To ty i wsi nie lubisz?...

— To zależy... Jeżeli jest wygodne mieszkanie, ładny ogród, miłe towarzystwo — to dlaczegóżby nie?...

— A ja znowu, chociaż jestem urodzona i wychowana w mieście, szalenie lubię gonić po tych, jak je nazywasz „wertepach"...

— Bo ty jesteś co innego. Ty masz w sobie coś z dzikiego kwiatu, który na swobodzie tylko rozwija się i kwitnie... Ja jestem cieplarniana roślina, a może już taka trochę zasuszona, z zielnika...

— Bo ci się nie chce rozruszać...

— Nie chce mi się — o to właśnie chodzi.

Na tem skończyła się rozmowa. Józia zrobiła w cichości serca spostrzeżenie, że Loli przydałoby się bardzo, gdyby opaliła się trochę i nabrała zdrowszej cery.

Zachowała jednak tę uwagę dla siebie i ostatecznie poszła za miasto sama, podczas, gdy panna Żarnicka pospuszczała u okien story i ułożyła się wygodnie na sofce z powieścią w ręku.

Józia zaś wybiegała się dowoli, nazrywała kwiatów, zgrzała się, spociła, rozczerwieniła — wcale nie jak poważna mężatka, lecz raczej jak niedorosła, swawolna dziewczynka, wypuszczona na wakacyjną swobodę.

Nie zważała na to, że jej kapelusz zjechał nieco „na bakier", że jakaś gałąź rozdarła w jednem miejscu cienki batyst bluzki, że w pogoni za niezapominajkami po mokrej łące zrosiła się spódnica dołem i zwilżyły się buciki.

Było jej tak dobrze, lekko i wesoło, jak już oddawna nie bywało.

Jakże się smucić, jakże martwić, kiedy słońce świeci tak jasno, tak mocno grzeje, kiedy wszystko wokół zieleni się i kwitnie.

Wprawdzie spotykani przy polnych robotach ludzie mieli jakieś zafrasowane miny i coś tam gwarzyli, że zasiewy spóźnione, a teraz deszczu niema, susza się zapowiada — więc kto wie, jak będzie — czy urośnie?...

Ale te obawy nie trafiały Józi do przekonania. Zaczynała z tą lub ową stroskaną wiejską kobietą rozmowę i zapewniała ją, że wszystko będzie dobrze, wojna się skończy, zboża pięknie urosną.

— Dałby też Pan Bóg, żeby słowa panienki były prawdziwe... — odpowiadano jej.

— Ja już nie jestem panienka tylko mężatka — odpowiadała z dumą Józia, błyskając w słońcu swoim złotym, ślubnym pierścionkiem.

— Już wydana?! Popatrzcie się, moi ludzie! Taka młódka! A gdzie mąż...

— Przy wojsku...

— Tak... tak... Wszyscy oni teraz przy wojsku.

Józia mówiła: „Szczęść Boże" albo „zostańcie z Bogiem" i szła znowu przed siebie, jakąś ścieżyną, wijącą się wśród pól.

Snuła ciche, szczęsne marzenia o tem, jak to wojna się skończy, Konrad powróci, a wtedy będą sobie we dwójkę chodzili tak daleko, daleko... — przedewszystkiem jak najdalej od mamy Żarnickiej.

— Tylko czy on lubi takie łazęgi? Może tak, jak Lola... Tak... tak... przypominam sobie, że on raczej woli iść do kawiarni, albo do kina, niż na daleki spacer... Ale to nie szkodzi... Ja także lubię kawiarnie, choć rzadko chodziłam...

O powrocie pomyślała dopiero wtedy, kiedy powietrze już się ochłodziło i słońce wyraźnie poczęło się zniżać ku zachodowi.

— Ano! Trzeba wracać do... więzienia!

Przyspieszyła kroku, żeby jeszcze przed zupełnym zmierzchem dostać się do domu i wkrótce znalazła się pośród pierwszych przedmiejskich domków Łykowa.

— — — — — — — — — — — — — — —

„...A dziewczyna, jak malina,
Niesie koszyk róż.
Stój, poczekaj, moja duszko,
Skąd tak drobną stąpasz nóżką,
Jam z tej chatki,
Rwałam kwiatki
I powracam już" —

zanucił ktoś nagle dość dźwięcznym tenorem nad samem prawie uchem Józi.

Drgnęła i obejrzała się.

Tuż koło niej szło dwóch młodych, elegancko ubranych mężczyzn.

Jeden z nich, różowy, pulchny szatynek, który wydawał się młodszy od swego towarzysza, miał niebieskie, śmiejące oczy, łobuzerską minę i po angielsku przystrzyżony wąsik nad bardzo czerwonemi, zanadto pełnemi wargami.

On to właśnie zaśpiewał piosenkę o dziewczynie „jak malina" i usiłował teraz zajrzeć Józi w oczy z zuchwałem przymileniem.

Towarzysz nie brał udziału w zaczepce. I on spoglądał na piękne zjawisko z kwiatami — ale z boku — dyskretnie.

Panamski kapelusz trzymał w ręku, pozwalając, żeby wiatr swobodnie rozwiewał jego bujne, ciemno-blond włosy, starannie, ale bynajmniej nie z fryzyerską elegancyą zaczesane, na wydłużonej, rasowej czaszce.

Twarz miał nie banalną, z ciekawie sklepionem czołem, z pięknie rzeźbionym nosem — wytworną linią ust, okoloną ciemno-złotym zarostem.

Miał pewnie nie więcej, jak lat trzydzieści, ale można go było wziąć za starszego, bo do ładnej, prawie, że pięknej jego twarzy przywarł wyraz jakiegoś zmęczenia, nudy, czy niezadowolenia, ujawniający się w niedbałem zagięciu kątów ust i pogardliwem trochę spojrzeniu szaro-zielonych oczu, przymrużonych lekko, jak u krótkowidza.

— Spójrz, Julku — zawołał różowy szatyn — czyśmy przeczuwali, że ta nędzna dziura, Łyków, takie kryje piękności!... Gdybyż jeszcze ta śliczna panienka pozwoliła się odprowadzić, to doprawdy jestem gotów pokochać to miasto!

Józia uśmiechnęła się leciutko. Nawykła oddawna do zaczepek ulicznych — nie czuła się niemi obrażoną.

Lubiła nawet, jeżeli się ktoś za nią „włóczył", a ona go mogła „odpalić". I teraz cisnęła się jej na usta cięta, dowcipna odpowiedź, ale w porę przypomniała sobie swoją godność mężatki, zachmurzyła się, zsunęła brwi, wydęła wargi i zaczęła iść jeszcze prędzej.

Chciała zamanewrować tak ręką, aby natręt zobaczył jej ślubną obrączkę, ale ciężka wiązanka kwiatów utrudniała jej to.

„Nie uciekaj, dziewczę lube,
Moje sto tysięcy" —

zaśpiewał znowu szatyn — również przyspieszając kroku.

Rozpoczął się formalny pościg. Józia biegła już prawie, szatyn podążał za nią. Ten i ów przechodzień oglądał się ciekawie.

Młodą kobietę przestała bawić ta zaczepka, a robiło się jej coraz bardziej nieswojo.

Nagle mężczyzna, nazwany Julkiem, pociągnął towarzysza za ramię.

— Przestań, Władek — powiedział dość ostro.

— Ależ, Julku, co ty...

— Przestań, mówię ci — przytrzymał szatyna, dopóki Józia nie zniknęła na zakręcie ulicy.

— Czyś ty oszalał, Julku!... O co ci chodzi — zawołał Władek. — Odkąd to stałeś się takim moralistą, obrońcą zaczepianych panienek...

— Mój kochany, to już przestawało być dowcipne, a zaczynało być niesmaczne...

— Niesmaczne, dlaczego? — zdziwił się szatyn. — Taka śliczna dziewczyna... A może uważałeś, że nie jest dość ładna?...

— Jest za piękna, żeby ją tak głupio zaczepiać!...

— Za piękna, żeby ją zaczepiać?! A jakiejż mam zaczepiać: brzydkie?! Daruj, ale to chyba za mądre dla mnie, ja tego nie rozumiem...

— Nie sil się więc napróżno na zrozumienie... i na przyszłość lepiej daj spokój takim dzieciom!...

— Dzieciom?! Ładne mi dziecko!... No pewnie, że nie matrona, ale dziecko!... Jakie dyabliki w oczach, że aż!... I co za figurka — zauważyłeś?...

— Nie nudź-że mnie — odpowiedział niechętnie towarzysz.

— Ojej! Jakeś ty scnotliwiał!... Możnaby cię posądzić o matrymonialne zamiary. Przeszkodziłeś mi dzisiaj, ale ja się już poznam z tą ślicznotką...

— Prędzej możesz się poznać z kijem ojca, albo z warząchwią matki!...

— Nie bój się!... Ja jestem stary praktyk, potrafię i w Łykowie zawierać znajomości... Ale, *à propos* znajomości... Będziesz tu składał jakie wizyty, Julku?

— Odwiedzę Żarnickich, bo to moi znajomi z Zakopanego.

— Żarniccy!... Poczekajno!... Aha! Już sobie przypominam... Imponująca mama — nie chciałbym jej mieć za teściową — z anemiczną, małomówną córeczką i brat, wcale miły, wesoły chłopak...

— Właśnie ci sami.

— Coś tam wtedy bardzo kręciłeś się koło tej panny Żarnickiej... Mówiono nawet, że starasz się o nią... Czy to prawda?

— Nie. Toż to był nieledwie podlotek jeszcze.

— No, to ostatecznie nic nie szkodzi. A podobała ci się?

— Ciekawa dziewczyna — odpowiedział Julian niedbale, strącając końcem laski drobne kamyczki do ścieku — mówiła mało, ale odzywała się zawsze do rzeczy...

— I to cię tak zachwyciło... Jabym powiedział, że ona jest za... Ale dajmy temu spokój, bo byś się jeszcze obraził. Więc ta znajomość zakopiańska odnowi się... No, no — jeszcze i to zdarzyć się może, że piękny Julek Łuniewski, pożeracz serc niewieścich, utraci wolność swą i swobodę dla łykowskiej panny z kamienicą... Bo, zdaje mi się, że ona ma kamienicę?

— Nigdy nie byłem pożeraczem serc kobiecych. Zostawiam to głupszym.

— Niech i tak będzie. A kiedy wybierasz się do tych Żarnickich.

— W najbliższych dniach — może pojutrze, lub nawet jutro.

Zmierzchało się już zupełnie, kiedy weszli w ulicę, graniczącą z rynkiem łykowskim.

— Wiesz co, Julku, jest tu jakaś knajpa — nawet, zdaje się, dosyć przyzwoita, jak na Łyków. Możebyśmy przepłukali gardła szklanką piwa.

— Owszem, chodźmy.

Zniknęli za jasno oświetlonemi drzwiami restauracyi.

— — — — — — — — — — — — — — —

— Bójże się Boga, Józiu — szepnęła Lola, otwierając drzwi bratowej — jak ty wyglądasz! Ładnieś się przyrządziła na tym spacerze!... Przebierze się prędko i uczesz, żeby cię mama tak nie zobaczyła... Spiesz się... Masz tam u siebie na stole kartkę od Konrada.

Józia chciała niepostrzeżenie przemknąć się do swego pokoju, ale nie zdążyła, bo we drzwiach stanęła pani Żarnicka.

Zmierzyła synową wzrokiem od stóp do głowy, przyjrzała się przekrzywionemu kapeluszowi, rozrzuconym włosom i zaczerwienionej, rozgrzanej twarzyczce, wyglądającej z poza snopu różnobarwnego kwiecia.

Spostrzegła rozdarcie bluzki, nie uszło także jej uwagi lekkie obłocenie sukni i bucików. Wreszcie, z niewysłowioną pogardą — rzuciła jedno tylko, wcale niewytworne określenie:

— Flejtuchostwo!

Młoda kobieta zawstydzona spuściła głowę i wysunęła się w milczeniu. Pogoniły za nią dalsze słowa świekry:

— Możebyś zechciała przejrzeć się w lustrze i zobaczyć, jak wygląda pani Konradowa Żarnicka, powracająca do domu wieczorem z samotnego spaceru!

Kiedy Józia znalazła się w swoim pokoju, rzuciła kwiaty na łóżko, a pospiesznie pochwyciła kartkę, leżącą na stole.

Było już ciemno, więc podeszła do okna, żeby ją przeczytać przy ostatnich blaskach światła dziennego.

„Droga moja Józiu! — pisał Konrad — proszę Cię o to bardzo, słuchaj mojej Matki we wszystkiem. Chociażby Ci to nawet z trudnością przychodziło — wiem, że lubisz być czasem trochę przekorną i upartą — staraj się nie dawać Jej powodu do niezadowolenia. Zależy mi na tem bardzo. I Ty to zrobisz dla mnie, Józiu, prawda?"

Odłożyła kartkę.

Przygasły jej świeże rumieńce, przyniesione ze spaceru — dolna warga wygięła się jakiemś dziwnem zniechęceniem.

Bez śladu poprzedniego, dziecinnie radosnego ożywienia wzięła porzucone na łóżku kwiaty i wstawiła je do dzbanka z wodą.

Potem powolnym, automatycznym ruchem zdjęła kapelusz, rozplotła włosy i zaczęła je czesać leniwie, nie spoglądając nawet w lustro.

— — — — — — — — — — — — — — —

Julian Łuniewski zadzwonił do drzwi mieszkania pani Żarnickiej. Przeczekał chwilę. Nikt nie otwierał. Przycisnął guzik dzwonka raz drugi, a potem i trzeci.

Cicho.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Tragedya ułanów polskich.

Losy wojny światowej nie oszczędziły Polakom żadnej tragedyi. Rozdarci przez dawną niesprawiedliwość dziejów, obecnie w trzy obce państwowo armie rzuceni, musieli polscy żołnierze w różnych obcych mundurach nie tylko walczyć za cudze sprawy, ale, jednej matki dzieci, staczać, gdy kazała tak tragiczna logika wojny, między sobą walki bratobójcze. I nieraz ich mężne zgony były tylko tragicznem nieporozumieniem w obliczu logiki dziejów.

Do takich nieporozumień należy zapewne tragedya polskich ułanów w Stanisławowie. W armii rosyjskiej tworzyli oni oddzielny pułk ochotników, woleli bowiem służyć razem, niż pomieszani z Rosyanami. Znalazłszy się zaś na froncie, który cała



Tragedya ułanów polskich: Grób ułana Wedlera (Fot. L Czaykowski)

armia rosyjska opuszczała, odznaczyli się mężną jego obroną do końca, wbrew może swym uczuciom, lecz wierni obowiązkowi i honorowi żołnierskiemu. Oddali przytem przysługę rodakom, gdyż mieszkańców Stanisławowa ochronili w miarę sił przed gwałtami uciekających żołnierzy rosyjskich.

Albowiem najdziksze oddziały armii rosyjskiej, idące zwykle na tyłach i na przodzie, kozacy, czerkieśćy i t. d., opuszczając Stanisławów, postanowili sobie „pohulać". Rozpoczęło się niszczenie i rabunek. Do jakich okropności by doszło, nie wiadomo. Na szczęście w południe, tegoż dnia, w przejeździe z Karpat, przybyli do miasta ułani polscy i ci, na prośby i przedstawienia burmistrza, p. Stygara, za zgodą generała wzięli się do robienia porządku. Ułani polscy wśród tej pożogi krwawej zjawili się jak cudem zesłani aniołowie-zbawcy. Natychmiast się wzięli do pracy. Musieli z rabującymi kozakami i sałdatami staczać wprost krwawe walki, odpędzając ich od resztek sklepów, odrywając od gwałconych kobiet, wyciągając z domów, lub odbierając zrabowany łup.

Rozległy się po ulicach strzały, zaczęły się gonitwy, walki — ale rabunki prawie ustały, a gdzie miały miejsce, znaleźli się zawsze w porę polscy ułani, by obronić napadniętych.

I tu się zaczyna tragedya bohaterstwa polskich ułanów.

Nic to, że musieli się w dalszym ciągu uganiać za rabującem żołdactwem, gorzej — przeszło na nich zadanie obrony odwrotu. Zrazu zapowiedziano im, że we wtorek, o godzinie czwartej po południu, mają miasto opuścić a obronę odwrotu wezmą na siebie znowu kozacy.

Ale ułani o tem myśleć nie chcieli i oświadczyli, że zostaną do ostatniej chwili. A wtedy przyszedł od komendy kozackiej rozkaz, że ułani mają nie tylko bronić odwrotu, ale i powstrzymać nadchodzące wojska austryackie i niemieckie.

Kiedy się patrole austryackie zjawiły, ułani, o godzinie szóstej wieczorem, przy współudziale nielicznej artyleryi, która rozpoczęła intenzywny ogień (Schnellfeuer), garstki piechoty i automobilu opancerzonego na prawem skrzydle, poszli do ataku.

Nie znający okolicy, wysłani zostali ku Krechowcom przez odkrytą zupełnie na pewnej przestrzeni drogę za parkiem, skąd ich łatwo było dostrzedz.



Tragedya ułanów polskich: Manifestacyjny pogrzeb ułana Wedlera (Fot. L. Czaykowski).

Rozwinęło się sześćset koni i wyrwało z kopyta. A kiedy byli w pełnym biegu i koni bez mundsztuków powstrzymać nie mogli, konie zaczęły padać i ludzie — zaczęły grać niemieckie karabiny maszynowe.

A kiedy się z przeszkodami uporali i poszli dalej do ataku, nie mogąc wytrzymać wśród strzałów, zdziesiątkowani, zwrócili się ku drodze, gdzie nadjechał rosyjski automobil pancerny i pod jego zasłoną skryli się do wsi za chaty. Tu już prażyły ich tylko strzały armatnie. Potem poszli znów do ataku raz i drugi. A potem, gdy się wycofali, musieli zapełnić okopy, które opuściła w popłochu piechota rosyjska i tam resztki ułanów polskich dotrwały końca... Reszta, około stu dwudziestu, rannych przeważnie, zdołała powrócić do Tyśmienicy.



Z ruchu oświatowego w Zamojszczyźnie: Szkoła ludowa w Chomęciskach (×) P. K. Namysłowski, założyciel słynnej orkiestry włościańskiej.

Rozumiejąc całe bohaterskie poświęcenie się ułanów polskich, ludność Stanisławowa postanowiła złożyć im hołd. Około czterystu ułanów padło rannych lub zabitych. Jeden sposób, to uroczysty pogrzeb poległych, do wyszukiwania których zezwolił pruski generał komenderujący, Litzmann, użyć nawet pomocy jeńców, a drugi, to ulżenie im niewoli, względnie wyjednanie zupełnego dla nich uwolnienia i pozwolenia powrotu do Królestwa.

W tym celu zwrócono się do komendy pruskiej w Stanisławowie z odpowiednim podaniem. Jeńcy ułani zostali też natychmiast wydzieleni z ogólnej liczby jeńców, pozwolono się z nimi widywać, obdarzać ich jadłem, pieniądzmi i tytoniem. Trakto-



Tragedya ułanów polskich: Grupa rosyjskiego pułku ułanów polskich w Stanisławowie. (Fot L. Czaykowski).




Kadry armii polskiej:
Drugi pułk piechoty po nabożeństwie w Zambrowie, wychodzi z kościoła do koszar z orkiestrą. Oficerowie drugiego pułku. (X) Hr. Mycielski. (XX) pułk. Żymirski.

wano ich też z pełnymi honorami wojskowymi. Nadto zaopatrzono ich w odpowiednie pismo burmistrza i komendy, aby wszędzie, gdziekolwiek się udadzą, obchodziły się z nimi władze w odpowiedni, należny ich bohaterstwu, sposób. Prócz tego mają być wysłane do Koła Polskiego telegramy z prośbą o wyjednanie u władz wojskowych zwolnienia ich z niewoli i wysłania do rodzinnych chat.

Pogrzeb zaś jednego z ułanów, który zginął na ulicach Stanisławowa, kiedy już jako ranny ciężko, poddawszy się i złożywszy broń i otrzymawszy od oficera austryackiego pozwolenie, udał się, by pożegnać się z rannym koniem (a trzy konie pod nim tego dnia ubito), pogrzeb tego 19 letniego chłopaka, Jana Wedlera odbył się 26. lipca w sposób niezwykle uroczysty i manifestacyjny. Tłumy publiczności wyległy na ulice. W kościele parafialnym odbyły się o godzinie piątej po południu egzekwie według obrządku grecko i rzymsko katolickiego (rano odprawiono nabożeństwo w synagodze), poczem pochód uszeregowany, złożony z uczniów, uczenic i prawie samych pań, które niosły trzy wieńce i mnóstwo kwiatów, ruszył ku cmentarzowi.

Kondukt prowadził ks. prałat Piaskiewicz w otoczeniu całego duchowieństwa polskiego i ruskiego z ks. prałatem Litwinowiczem na czele. Karawan obsypany był cały kwieciem; za karawanem postępowała, w braku rodziny, p. Westfalewiczowa z dziećmi, u której ś. p. Jan stał na kwaterze, potem reprezentacya miasta, towarzystw miejscowych i władz, wreszcie olbrzymi tłum ludności.

Trumnę wynieśli z kościoła, a potem wnieśli na cmentarz uczniowie gimnazyalni, przedstawiciele komitetu obywatelskiego i „Sokoła“, poczem, po odbyciu ceremonii religijnych, przemówił, wśród szlochów i płaczu, w sposób serdeczny a prosty burmistrz miasta, p. Stygar. Przedstawiwszy bohaterstwo ułanów polskich, odczytał na zakończenie list rannego pułkownika ułanów polskich, Mościckiego, który chciał pożegnać się w ten sposób z ludnością miasta. List ten, wręczony przez rotmistrza, który z garstką niedobitków opuszczał miasto, brzmi:

„Burmistrzowi miasta Stanisławowa dowódca pułku przesyła te kilka słów, które chciał wypowiedzieć przy pożegnaniu.

Polscy ułani spełnili jedynie swój obowiązek żołnierski i stanęli w obronie honoru armii rosyjskiej, w szeregach której, związani przysięgą i poczuciem obowiązku żołnierza, walczą. Korzystając ze szczęśliwej okoliczności, prosimy Radę Sławetnego Miasta Stanisławowa o przesłanie wyrazów Czci, Miłości, Wierności i Synowskiego Przywiązania do Ukochanej, Zbolałej i Zniszczonej ziemi Ojczystej Naszej. Jedynym promieniem jasnym, który nam żyć każe jest głębokie przekonanie, że ta Ukochana Polska nasza zmartwychwstaje teraz z gruzów i podnosi się do nowego życia, Wspaniała, Niepodległa i Silna.

Uznając powagę Rady Stanu i ciężkie zadanie, jakie wzięła na swoje barki, przesyłamy Jej wyrazy głębokiego szacunku.

Nowopowstającemu Rządowi Polskiemu składamy hołd! Przewodnikowi i budzicielowi militarnego, a ry




Z ruchu oświatowego w Zamojszczyźnie:
Grono naucz. gimnazyum realnego w Zamościu. Młodzież seminaryum naucz. w Zamościu po pracy w ogrodzie.




Kantyna w Zambrowie. **Kadry armii polskiej:** Oficerowie-instruktorzy niemieccy, podczas ćwiczeń zimowych.

cerskiego ducha Polaków, Generałowi Piłsudskiemu, wiernemu synowi Ojczyzny — czołem!

Wierząc w rychłe wszystkich Polaków, walczących obecnie pod obcymi sztandarami o wolność Ojczyzny, zjednoczenie w nowopowstającej pod sztandarem narodowym armii w kraju naszym ukochanym ślemy szczere, serdeczne, braterskie pozdrowienie.

Niech żyje przyszła potężna polska Armia, ostoja Wolności, Niepodległości Ojczyzny Naszej!

A gdy ta Święta Nasza, nareszcie Zjednoczona, świtać światu będzie, to wszyscy Jej synowie, po świecie rozsiani, w Niej swe miejsce odnajdą i Jej tylko służyć będą, teraz zaś niech nam, ułanom polskim, wolno będzie złożyć wszystkim Polakom najserdeczniejsze życzenia, by ta chwila jak najprędzej nastąpiła.

Niech zagrzmi nad wszystkimi nasze hasło najświętsze: „Niech żyje Wolna, Niepodległa i Zjednoczona Polska!!!

Wiwat!!! Pułkownik *Mościcki*."

Uroczystość zakończyły śpiewy patryotyczne, odśpiewane przez kilkutysięczny tłum.

Nazwiska oficerów ułanów polskich brzmią: Pułkownik Mościcki, rotmistrz Dziewicki, rotmistrz Pajewski, rotmistrz Sobieszczański, rotm. Waraksiewicz, rotm. Żółkiewski, lekarz pułkowy dr. Kornatowski, dr. weterynaryi Kornaszewski, porucznicy: Zboromierski, Ursyn Niemcewicz, Pruszyński, Chrząstowski. Korneci: Dziewanowski, Chmielewski, Łepkowski, hr. Bem, Kentro, Jastrzębski, jako jeńcy, wzięci z pola walki: porucznik Tadeusz Mikke i, ranny lekko, chorąży Edward Czajkowski.



Oficerowie szóstego p. p. na wykładzie o celowaniu.



Kadry armii polskiej: Oddział karabinów maszynowych podczas ćwiczeń.

Kadry armii polskiej.

Podczas gdy Legiony same i Legioniści różne „polityczne" przechodzą koleje, gdy część ich składa przysięgę, a część jej odmawia, gdy wokoło kwestyi Legionów wrą spory stronnictw i robi się „wielka polityka" — Legiony, dotąd formacya wprawdzie bohaterska, lecz formalnie dość luźna, stają się zwolna armią regularną, nad czem władze okupacyjne ze szczególną pracyą gorliwością, użyczając pomocy. Albowiem nawet najlepszy żołnierz ochotniczy, odwagą i poświęceniem swojem zadziwiający cały świat, ażeby mógł stać się regularnym żołnierzem, na którym oparte są dzisiaj wszystkie państwa, musi obok zalet idealnych przejść, wychować się życiem koszarowym, wyszkolić zupełnie zawodowo. Tego potrzeba Legionom, ażeby mogły się stać kadrami armii polskiej. To też natychmiast po wycofaniu Legionów z frontu pod Baranowiczami, w grudniu 1916 roku, zabrano się do tej żmudnej, a koniecznej pracy, rozmieszczając poszczególne pułki i oddziały Legionów w Królestwie Polskiem.

Wówczas, w styczniu 1917 roku, drugi pułk piechoty stacyonowany został w Zambrowie, w dużych koszarach rosyjskich, gdzie pod kierownictwem oficerów państw centralnych zabrał się do uzupełnienia braków i koniecznej w dziedzinie wojskowej pracy. Wszyscy zaś żołnierze zaciągowi armii polskiej zostali w czerwcu b. r. wycofani ze swoich posterunków na czas wakacyjny, celem wyszkolenia w nowej mustrze, zastosowanej obecnie i przyjętej w wojsku polskiem.

Koncentracya tych żołnierzy i oficerów nastąpiła z początkiem lipca w obozie ćwiczeń w Zambrowie, gdzie podzieleni zostali na dwa kursy, a mianowicie czwarty i szósty.

Było to koniecznością, gdyż żołnierze zaciągowi, odkomenderowani w grudniu 1916 roku do aparatu zaciągowego, nie mieli możności wyszkolić się według nowych przepisów, podczas gdy pozostali w pułkach przez szereg miesięcy nabyli nową wiedzę wojskową. Żołnierze zaciągowi znali tylko mustrę starą, obowiązującą w Legionach, przejętą z armii austryackiej. Ażeby właśnie ujednostajnić całkowicie mustrę i nowe przepisy w armii polskiej i przygotować legio-



Z wojny na morzach: Zabieranie załogi nieprzyjacielskiego okrętu przed jego zatopieniem przez austryacką łódź podwodną.



Z życia szesnastaków: „Dom zdrowia“ 16 p. strzelców „krakowskich“ na froncie, zbudowany przez pułkownika Hohenauera.

nistów do przyszłych zadań kadrowych, zwinięto aparaty zaciągowe i poddano wyćwiczeniu wszystkich żołnierzy. To też wyszkolenie tak żołnierzy, jak i oficerów zaciągowych idzie szybkim krokiem naprzód. Wychodząc zaś z zasady, że oficer, ażeby mógł być dobrym kierownikiem, wychowawcą i nauczycielem żołnierza, musi sam nie tylko teoretycznie, ale i praktycznie wszystko poznać i wyszkolić się, Komenda obozu zarządziła osobne kursy dla oficerów, podczas gdy żołnierze i podoficerowie kształcą się pod komendą wyćwiczonych już oficerów z pułków, mając przytem do pomocy instruktorów oficerskich i podoficerskich państw centralnych.





Teatr polowy 16. pułku strzelców. **Z życia szesnastaków**: Dekorowanie kapelana 16 p., ks. Bukowczyka.

Z ruchu oświatowego w Zamojszczyźnie.

W Zamojszczyźnie, jednej z najpiękniejszych części Lubelskiego, ruch oświatowy wśród nowych warunków rozwija się żywo. Od roku niespełna istniejące w Zamościu publiczne gimnazyum realne i seminaryum nauczycielskie zakończyły właśnie uroczyście pierwszy rok swej owocnej pracy. Po solennem nabożeństwie w starożytnej kolegiacie, kryjącej prochy hetmana Zamojskiego, odbył się w byłej Akademii, gdzie mieszczą się obecnie obydwie szkoły średnie, piękny poranek, zamykający rok szkolny. Na program złożyły się udatne produkcye wokalno-deklamacyjne, przemówienia dyrektora zakładu, reprezentanta rodziców i komendanta powiatu. Jednocześnie otwarto wystawę prac uczniów obydwu szkół średnich. Na jej piękną całość złożyły się rysunki odręczne, zeszyty, zielniki, wyroby z drzewa, tektury i wszystko, co mogło dać świadectwo o stanie wiadomości teoretycznych i praktycznego uzdolnienia uczniów.

Z wielu innych końcowych popisów szkolnych, świadczących o znacznym rozwoju szkolnictwa początkowego w powiecie zamojskim, wyróżnił się wybitnie popis szkoły ludowej p. Ludmiły Namysłowskiej w Chomęciskach. Przebieg tego ze wszech miar udatnego popisu wykazał, że wszystkie przedmioty naukowe były traktowane poglądowo, największy zaś nacisk położony był na wyrobienie w uczniach samodzielności, inicyatywy, pomysłowości, zdolności twórczych — w celu umożliwienia uczniom najszerszego operowania nabytą wiedzą w życiu praktycznem.

Wogóle w Zamojszczyźnie równie intenzywnie prowadzone są typy szkół tak ludowych, jak średnich, a jednocześnie seminaryum wychowuje przyszłych pedagogów, co zapewnia prosperowanie szkolnictwa w tej dzielnicy i na przyszłość.

Z życia szesnastaków.

Pułk szesnasty, dawniej obrony krajowej, obecnie strzelców, składa się z takich samych „krakowskich dzieci“, jak i nasi głośni „trzynastacy“, oczywiście ci szesnastacy są z natury rzeczy starsi od trzynastaków, ale tak samo potrzebują opieki i rozrywki, jak i ich młodsi koledzy, którym zresztą są równi męstwem i dzielnością. Szesnastacy mają jedno i drugie, dzięki zabiegom swego troskliwego komendanta, pułkownika Hohenauera. Jego staraniem stanął niedawno specyalny „Dom zdrowia“ dla szesnastaków, wybudowany na froncie podług pomysłu i planu pułkownika Hohenauera. Dom zawiera salę zabaw i gier, sypialnie, łazienkę, naturalnie i kuchnię. Oprócz tego przed domem dla rekonwalescentów jest weranda i kilka altan. Poświęcenie i otwarcie domu nastąpiło 22 lipca. W tym domu zdrowia „szesnastacy“ mają życie możliwie urozmaicone.

Oprócz domu zdrowia „szesnastacy“ mają teatr polowy, w którym sami grają i wystawiają różne sztuki, między innemi „Kościuszkę pod Racławicami“.



Z wojny na morzach: Król angielski (X) zwiedza nowozbudowaną łódź podwodną.

Piotr Zaccone

Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: **Marya Segeny.**

9)

— Oh! Oh! Naprawdę jest pan niezwykłym człowiekiem, panie Leduc. Przeszedł pan starego Buvard'a w sprycie.

Cypryan przyjął tę pochwałę ze skromnym uśmiechem.

— Robi się, co można — odpowiedział z prostotą.

— Zobaczymy się jeszcze, panie Leduc?

— Kiedy pan zechce.

— A więc w sobotę — dobrze?

— Będę czekał na pana.

Buvard powstał i, pożegnawszy archiwistę, zmierzał już ku wyjściu, lecz zwrócił się jeszcze od progu ze słowami:

— Panie Leduc, doszedłem do przekonania, że w ręku pana leży rozwiązanie tej niezbadanej tajemnicy. Niechże pan teraz działa ostrożnie, aby nie popsuć tego, co już pan zbudował.

— Niech pan będzie spokojny — odparł stary archiwista poważnie. — Popsuć moją sprawę może tylko zbytek gorliwości ze strony policyi. Liczę więc na pana, że mi będzie pozostawiona wszelka swoboda działania.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Tego samego dnia, około godziny dziesiątej zrana, Olivia obudziła się z nieokreślonem jakiemś wrażeniem smutku i zniechęcenia. Musiała zapewne noc spędzić bezsennie, bo głębokie cienie okrążyły jej wesołe zawsze oczy i w całem zachowaniu się jej i w leniwych ruchach ciała odczuwać się dawało znużenie i apatya.

Zarzuciwszy na siebie szeroką domową suknię muślinową, przeszła do gabinetu tualetowego, przylegającego do jej sypialni i rozpuściwszy wolno długie, ciemne włosy — zadzwoniła na pokojówkę, Julkę.

— Czy pani cierpiąca? — zapytała dziewczyna — kiedy Olivia, usiadłszy przed lustrem, z wyrazem zdumienia, z brwią silnie ściągniętą, patrzała bezmyślnie przed siebie.

— Ja? Ale cóż znowu! — odparła młoda kobieta, wstrząsając się nerwowo. — Skąd to przywidzenie, Julko?

— Pani jest bledsza, niż zwykle.

— To nic. Długo w nocy zasnąć nie mogłam. Czy są tam jakie listy dla mnie?

— Nic, proszę pani. Jest tylko bilet wizytowy, który złożono jeszcze wczoraj wieczorem.

— Od kogo?

— Od pułkownika Robert.

— Ah! I nikt nie pytał się o mnie?

— Nikt, oprócz pana barona.

Olivia skrzywiła się niechętnie i chciała już coś odpowiedzieć, kiedy w przedpokoju rozległ się dźwięk dzwonka.

— Ktoś dzwoni! — zawołała żywo. — Idź, Julko, zobacz, kto to taki.

Pokojowa powróciła po chwili, oznajmiając z uśmiechem:

— To pani Bruchon! Zapytuje, czy pani przyjąć ją może?

— Oh! Tak! Tak! Niech wejdzie — zawołała z radością Olivia. — Kochana mama Bruchon! Lubię ją bardzo. Proś ją tu natychmiast.

Wkrótce potem pani Bruchon wchodziła do gabinetu tualetowego młodej kobiety.

Była to kobieta lat pięćdziesięciu, średniego wzrostu, dosyć otyła i świeża jeszcze, ubrana w bardzo oryginalny sposób.

Pani Bruchon była bardzo znaną w światku eleganckich kobiet w Paryżu, gdzie trudniła się sprzedażą artykułów galanteryjnych i modniarstwem, a przy sposobności chętnie wyświadczała swoim klientkom drobne przysługi różnego rodzaju.

Posiadała przytem wielką dozę zręczności i przebiegłości, ukrywając starannie olbrzymią chciwość i skąpstwo, dochodzące do ostatecznych granic.

Mieszkała w Belleville, przy ulicy Pixecourt, gdzie żyła z mężem, dużo od niej młodszym, spełniającym obowiązki woźnego przy ministerstwie marynarki.

Małżeństwo to nie należało do najprzykładniejszych. Bruchon upijał się dosyć często, żona zaś jego wywoływała gwałtowne awantury, których echo rozchodziło się po całej kamienicy i zwracało uwagę sąsiadów. Pozatem jednak nie zajmowano się nimi więcej, niż innymi mieszkańcami domu.

Pani Bruchon weszła do gabinetu tualetowego, powitana serdecznym uśmiechem Olivii, przyciągnęła sobie krzesełko i ciężko usiadła obok młodej kobiety.

— Dzień dobry, kochane dziecko — rzekła swobodnie, odetchnąwszy kilkakrotnie głęboko — jestem dzisiaj okropnie zmęczona... Ah! mój Boże! Człowiek się dosyć napracuje i wymęczy, idąc po piętrach za tymi kilkoma frankami nędznego zarobku. To nie tak, jak pani!... Z tą młodością, wielki Boże, i z tą urodą, nie potrzebujesz się kochanie troszczyć o przyszłość. Chciałabym być na twojem miejscu, wierz mi!...

Olivia nie przerywała jej, przyzwyczajona już do jej swobodnego obejścia się i komplementów, których nie szczędziła jej nigdy.

Po chwili pani Bruchon pochyliła się nisko nad młodą kobietą i porozumiewawczem spojrzeniem wskazała pokojówkę, kręcącą się po gabinecie.

— Nie potrzebuję cię teraz, Julko — odezwała się głośno Olivia — przyjdziesz, kiedy zadzwonię.

— Masz mi co do powiedzenia? — zapytała ciekawie, kiedy drzwi się za pokojówką zamknęły.

Mówiąc to, przybliżyła jeszcze krzesło do pani Bruchon, a ciemne jej oczy rozbłysły żywym blaskiem.

— Tak jest, moja mała.

— Widziałaś go?

— Wczoraj.

— Gdzie?

— W Saint-Mandé.

— W Saint-Mandé! Kochany chłopiec! Nie domyśla się swojego szczęścia?

— Oh! Zapewne! To niewinne jeszcze, jak nowonarodzone dziecko i nie myśli jeszcze o kobietach.

— Mówiłaś z nim?

— Jeszcze nie.

— Dlaczego? Przecież cię o to prosiłam! — zawołała niecierpliwie młoda kobieta.

— Oh! To nie jest tak łatwe, jak się zdaje! Trzeba przedtem obmyśleć cały plan i wyczekać okoliczności dogodnej, aby go nie wystraszyć.

— Jednakże, moja kochana.

— Pozwól, kochanie! Trzeba mieć zaufanie do mamy Bruchon! Ale, jak widzę, ten ładny chłopiec zapadł ci już dobrze w serce?

— Myślę tylko o nim! — odparła Olivia, patrząc w zamyśleniu przed siebie — Od tego wieczoru, kiedy go spotkałam w teatrze, czuję, że będę bardzo nieszczęśliwą, jeżeli nie będę mogła chociaż jeszcze raz popatrzeć na niego.. pomówić z nim...

— No! No! Moje dziecko... Trzeba się uspokoić i zapanować nad sobą! Inaczej popełnisz jaką nieostrożność, a pomyśl, coby się stało, jakby się baron domyślił?

— On mnie już nudzi!

— Ale jest bogaty, nie możesz zapominać o tem! — uśmiechnęła się gniewnie stara modniarka.

— Czy to trzeba koniecznie być bogatą, aby kochać i być kochaną? — westchnęła Olivia.

Pani Bruchon złożyła ręce z giestem wielkiego oburzenia i potrząsnęła głową.

— Wszystkie te same! — mruknęła z wyrzutem — Wy zawsze będziecie wszystkie do siebie podobne. Kiedy pięknego dnia miłość nawiedzi te szalone główki, trzeba się pożegnać z ich rozsądkiem. Ale ja cię ostrzedz muszę, moje dziecko! Nie denerwuj się, nie rozpaczaj, bo zwrócisz uwagę barona. A co do tego twojego Jerzego, to, jak ci już obiecałam, pomówię z nim, ale pod warunkiem, że będziesz słuchać rad starej mamy Bruchon i przyprowadzę ci go tu kiedy.

— Oh! Gdybyś prawdę mówiła! — wykrzyknęła młoda kobieta z błyskiem radości w oczach.

Stara modniarka przybrała w tej samej chwili wyraz bardzo poważny i pełen godności.

— Tylko, kochanko — rzekła z naciskiem — jeżeli chcesz, aby nam się ten zamiar udał, nie trzeba dopuścić, abym mogła mieć przykrości, które tylko czas mój zabrać mogą i odwlec wszystko.

— Masz przykrości, mamo Bruchon?

— Na razie jeszcze nic ważnego. Muszę spłacić pewien dług. Jutro ostatni termin, a nie mam w domu potrzebnej mi sumy.

— Ileż ci potrzeba?

— Sto franków! Drobiazg dla tego, co jest bogaty, ale dla nas biednych ludzi ciężkiej pracy, to co innego. Ten twój chłopiec, zdaje się, o takich troskach wiedzieć nie musi, bo zawsze taki uśmiechnięty.

— Kochany Jerzy! Zobaczysz się z nim?

— Przyrzekam ci i jeżeli będę mogła jutro zapłacić ten dług, który mi nie daje spokoju...

Olivia otworzyła szufladę tualety marmurowej przed którą siedziała i wyjęła z niej kilka sztuk złota.

— Masz, masz mamo Bruchon — rzekła — tylko zobacz się z nim i przyjdź mnie uwiadomić o rezultacie waszej rozmowy.

— Możesz na to liczyć, moje dziecko — odpowiedziała stara, chowając pieniądze do torebki — dziękuję ci.

— Odchodzisz już?

— Idę się zająć twoją sprawą, moje kochanie — wyrzekła, pani Bruchon, uśmiechając się serdecznie.

— Zobaczymy się wkrótce, nieprawdaż?

— Oczywiście, bądź tylko cierpliwa i czekaj na mnie.

Pożegnała szybko młodą kobietę i znikła w drzwiach sypialnego pokoju, ale, kiedy miała już przejść do salonu, stanęła na progu zmieszana i wylękniona.

O dwa kroki od niej stał pułkownik Robert, z palcem, przyciśniętym do ust na znak milczenia.

Pani Bruchon skłoniła się przed nim głęboko, dając mu do zrozumienia spojrzeniem, że rozkaz ten zrozumiała.

— Bądź za godzinę w Belleville — szepnął pułkownik, kiedy stara modniarka przechodziła obok niego. — Mam z tobą do pomówienia.

Pani Bruchon w milczeniu pospieszyła ku wyjściu, a pułkownik skierował się do sypialnego pokoju, gdzie oczekiwała go pokojówka, mająca oznajmić jego przybycie swojej pani.

XII.

— Ah! Co za niespodziewana wizyta! — zawołała Olivia, widząc wchodzącego gościa.

— Przepraszam panią najmocniej za tę wczesną godzinę — odparł pułkownik, kłaniając się nisko. — Mam nadzieję, że pani mi wybaczy to przekroczenie form towarzyskich. Nie zaaklimatyzowałem się jeszcze do europejskich zwyczajów, a tak pragnąłem widzieć panią...

Młoda kobieta uśmiechnęła się z lekką pogardą i ruchem ręki zaprosiła przybyłego, by usiadł.

— Już kilka dni nie mieliśmy przyjemności widzenia pana — odparła, zakrywając się szczelnie lekkim peniuarem. — Musi pan być widocznie bardzo zajęty?

Nie patrząc w stronę gościa, ujęła ręką długie, ciemne warkocze, spływające jej na plecy, chcąc je ułożyć w duży węzeł, ale pułkownik powstrzymał ją błagalnym gestem.

— Nie... Nie... Proszę panią — wymówił, przybliżając się do niej. — Niech mi pani pozwoli podziwiać te cuda, które otaczają panią, jak płaszczem pluszowym. W Indyach tylko mogłem zauważyć podobnie królewską ozdobę, ale tamte kobiety odczułyby napewne zazdrość, podziwiając włosy pani.

— Pan jest szalony! panie pułkowniku! — zawołała Olivia, zmieszana tem gorącem uznaniem.

— Pani ma słuszność, jestem szalony... widokiem pani...

— Czy dla wypowiedzenia mi tych komplementów odwiedził mnie pan o tak wczesnej porze? — szepnęła młoda kobieta, przesuwając na plecy jedwabiste sploty, trzymane w dłoniach.

Pułkownik wyraził jej swoją wdzięczność gorącem spojrzeniem.

— Wyznaję z całą otwartością — odrzekł — że nie po to przyszedłem tutaj. Ale, ujrzawszy panią, straciłem panowanie nad sobą. Zresztą do mojego podnieconego stanu przyczynia się również to życie paryskie, które pochłonęło mnie zupełnie, od pierwszego dnia, w którym stanąłem na tym bruku. Żyję w ciągłem odurzeniu zmysłów i duszy.

— Przyzwyczai się pan wkrótce do tego życia!

— Mam nadzieję, a szczególniej, jeżeli pani zgodzi się dopomódz mi do tego.

— Ja? A z jakiegoż tytułu? — zapytała Olivia, patrząc ze zdumieniem na swojego gościa.

— Z tytułu przyjaciółki. Czy nie chce pani, abym należał do stałych gości waszego domu?

— Nie widzę w tem nic nadzwyczajnego.

— Może mnie pani uczynić tak szczęśli-

wym — szepnął pułkownik, usiłując ująć rękę młodej kobiety.

— Panie pułkowniku! Zalecam więcej ostrożności — ostrzegła Olivia, uchylając się zręcznym ruchem. — Pan zapomina, że to nie Indye i nie wie pan może, że baron d'Esclairs jest bardzo zazdrosnym. No! Ale dosyć już o tem! Pomówmy o tem, co pana sprowadza do mnie.

— Dobrze — odrzekł pułkownik, przybierając natychmiast poważną postawę. — Ma pani słuszność. Na wszystko nadchodzi pewna stosowna pora w życiu... Wspomniałem już pani, że miałem wiele zajęcia w tych dniach. Urządzałem swoją willę na polach Elizejskich, a trzeba było w niej zaprowadzić wiele zmian i ulepszeń, bo dawno już nie była zamieszkaną. Dzięki Bogu, załatwiłem się z tem już zupełnie. W stajni stoją konie, wybrane starannie przezemnie i zdołałem już zdobyć sobie doskonałą i wyćwiczoną służbę. U was w Paryżu można zdziałać w tym kierunku istne cuda w przeciągu kilku dni. Jak pani widzi, nie straciłem czasu na próżno, willa przygotowana jest i odświeżona, ale brakuje w niej najważniejszej rzeczy...

— Co takiego?

— Ożywienia, ruchu... Gniazdko ładne... ale, niestety, próżne. Baron podsunął mi nadzieję, że nie opuści mnie w tej okoliczności...

— Cóż pan zatem chce uczynić?

— Chcę wydać wieczór... rodzaj zabawy...

— Dla kogo?

— Dla Paryża!

— Ależ, tyle jest osób w Paryżu! — zaśmiała się Olivia.

— Tem łatwiej wybierać. Pragnę zgromadzić u siebie wiele pięknych i wytwornych kobiet, młodych ludzi, dobrze sytuowanych i dobrze wychowanych, starszych, poważnych mężczyzn... Jednem słowem wszystkich tych, którzy pragną zabawy i użycia. Mają być śpiewy, tańce, gry, rozmowy dowcipne i ożywione. Chcę pozatem, aby wszyscy goście, którzy zaszczycą willę moją swoją obecnością, wynieśli z tego wieczoru jak najmilsze wspomnienie.

— W takim razie będą walczyć w Paryżu o zaproszenie na ten tak obiecujący wieczór.

— Niestety, nie znam nikogo tutaj i jeżeli pani i baron nie przyjdziecie mi z pomocą, jestem zgubiony.

— W czemże panu pomódz możemy?

— Baron przyrzekł mi sprowadzić swoich przyjaciół, panią zaś chcę prosić o przyprowadzenie mi swoich znajomych pań.

— Ależ i owszem, chętnie to uczynię dla pana — oświadczyła z gotowością Olivia.

— Ma ich pani wiele zapewnie?

— Znajdzie się pokaźna liczba.

— Niech pani mi poda ich nazwiska, a ja u pani złożę zaproszenia, do których dołączy pani kilka słów od siebie, a jeżeli pani do tej przysługi dodać jeszcze najważniejszą dla mnie... to jest zająć się rolą gospodyni domu, sukces wieczoru będzie w całej pełni zapewniony. No, jakże, pani Olivio? Czy mogę liczyć na panią? Proszę się tylko nie wahać — to rzecz postanowiona — nieprawdaż?

— Skoro pan tak bardzo tego pragnie, a baron daje swoje przyzwolenie.

Stłumiony błysk radości zajaśniał nagle w oczach pułkownika. Pochylił się z zadowolonym uśmiechem ku młodej kobiecie i wyjął z kieszeni notatnik, oprawiony w czarną skórę.

— Dziękuję. Dzięki pani spada mi ciężar z piersi. Zabierzmy się więc zaraz do roboty. Przedewszystkiem ta biedna Elwira, która odsprzedała mi swoją willę... należy jej się to, nieprawdaż?

— Doskonale! Więc Elwira — odrzekła z ożywieniem Olivia, która na dobre zaczęła się interesować całą sprawą. — Potem Klementyna du Bois, Anaisa Leblanc, Berta de la Croix, Lili, Manon, Torrella...

— Oh! Dosyć na razie, dosyć — przerwał pułkownik, śmiejąc się. — Nie jestem w stanie zapisywać tak szybko. A przytem samo nazwisko nie wystarcza jeszcze. Musi mi pani dać niektóre szczegóły, tyczące się osób tych pań.

— Jakież?

— Ich wiek na przykład, pochodzenie.

— Oh! Zawiele pan wymaga odemnie — zawołała kobieta. — Byłoby wielką niedelikatnością zapytywać te panie o ich pochodzenie, jak również o ich plany na przyszłość. — Zresztą — dodała po chwili — byłoby to zajęcie nie przedstawiające dla mnie nic pociągającego — chyba, że pan pragnie rywalizować w tym kierunku z panem Cypryanem Leduc.

— Co? Leduc? — zapytał żywo pułkownik.

— Tak, to ciekawy staruszek, którego poznałam kilka dni temu — objaśniła Olivia.

— Był u pani?

— Tak jest.

— A w jakimże celu.

— Nie przyszedł do mnie, lecz do barona...

— Nie wiedziałem, że baron zajmuje się genealogią...

— Pan d'Esclairs przedewszystkiem nie zajmuje się niczem, ale w każdym razie to, czego się dowiedział od pana Cypryana Leduc, zainteresowało go mocno.

— Cóż to było takiego, jeżeli wolno wiedzieć? — zapytał pułkownik, widocznie zaciekawiony.

— Nie dziwię się temu pytaniu. Przybywa pan zdaleka i nie wie nic o tem, co się tu dzieje u nas.

— Czy dzieje się naprawdę coś tak interesującego?

— Coś okropnego! Podobno w obecnej chwili wszyscy, którzy zbliska czy zdaleka należą do rodziny Bonnet d'Esclairs, są zagrożeni zamordowaniem.

— Co pani mówi? To okropne rzeczywiście! Ale to w niczem pani dotknąć nie może.

— Mnie nic, dzięki Bogu — odpowiedziała młoda kobieta, wstrząsając się nerwowo. — Ale baron nie jest bardzo spokojny co do swojego losu. Razem z przyjacielem swoim Henrykiem Berthaud przedsięwziął wszelkie środki ostrożności, ale rozumie pan, że to jeszcze żadnego zapewnienia bezpieczeństwa dać nie może.

— A to ciekawa sytuacya, doprawdy! Współczuję z baronem! Szkoda, że mi wczoraj o tem nie wspomniał, bo...

Pułkownik nie dokończył już rozpoczętego zdania, gdyż w tej samej chwili drzwi buduaru otworzyły się i wszedł baron Bonnet.

Był zamyślony i zgnębiony. Spostrzegłszy pułkownika, skrzywił się z wyrazem niezadowolenia.

Podszedł jednakże do niego i podał mu rękę.

— Mówiliśmy właśnie o panu, baronie — rzekł pułkownik, powstając. — Pani Olivia opowiadała mi o tej sprawie przykrej, która dotyczy pana. Czyżby naprawdę miał pan podstawy do niepokojenia i lękania się o siebie?

Czoło barona pokryło się chmurą i jeszcze żywszy wyraz troski ukazał się w jego oczach.

— Podstawy? — powtórzył. — Cóż ja wiedzieć mogę konkretnego. W każdym razie uspokaja mnie trochę myśl, że policya i przyjaciel Berthaud czuwają nademną.

— A, to bardzo dobrze! — zawołał pułkownik. — Czy o tem dowiedział się pan coś nowego?

— Berthaud przed godziną nie wiedział jeszcze nic ponad to, co wiemy wszyscy. Ale teraz, kiedy rozeszliśmy się, on udał się do ministerstwa marynarki i przyjdzie tu zaraz podzielić się ze mną wiadomościami, jakie tam otrzymał.

— Czy wykryto ślad jaki?

— Jeszcze nie — ale wiemy o czemś bardzo ważnem.

— Oh! Oh! — zawołał pułkownik z zainteresowaniem. — Cóż to takiego?

— Wie pan coś o tem — odparł baron, zniżając głos mimowolnie — bo znajdował się pan tego dnia w pociągu, odchodzącym z Marsylii, w dzień przybycia parowca „Cambodge" z Indyi. Zauważono wówczas naruszenie worka z depeszami.

— Tak, przypominam sobie.

— Jak tylko ten fakt został stwierdzony, zadepeszowano z ministeryum do Kalkuty, aby otrzymać przy najbliższej sposobności z Indyi duplikaty depesz i aktów, które miały się znajdować w owym naruszonym worku.

— Zdaje mi się, że blisko dwa miesiące upłynęły od tego czasu...

— Tak, blisko dwa miesiące i z depesz nadeszłych stamtąd stwierdzić można, że duplikaty żądane wysłane zostały parowcem „Saïgon", który opuścił Kalkutę piętnaście dni temu.

— A to interesująca historya! — zawołał pułkownik. — W takim razie więc parowiec przybędzie do Marsylii w niedługim już czasie i te depesze żądane mogą być w Paryżu przy końcu przyszłego tygodnia!

— Mniej więcej.

— Dzień nadejścia nie jest dokładnie znany?

— Dziś rano nie był jeszcze oznaczony... Ale Henryk wkrótce nadejdzie... dowiemy się więc. Ale, otóż zdaje mi się, że ktoś dzwoni, to on z wszelką pewnością.

Baron nie mylił się; do pokoju wbiegł młody adwokat, rozgorączkowany i zdyszany, przywitał się szybko z Olivią i pułkownikiem i odciągnął na bok przyjaciela.

— A więc? — zapytał tenże niespokojnie. — Masz jakie wiadomości?

— Tak — odpowiedział Henryk Berthaud.

— Kiedy przybywa parowiec?

— Według wszelkiego prawdopodobieństwa w przyszłą sobotę rano.

— W sobotę — zawołał pułkownik, do którego słowa te dobiegły. — Ależ to właśnie dzień naznaczony na moje przyjęcie! To dobry znak, doprawdy. Morderca rodziny Bonnet powinien się mieć na ostrożności.

— Może być pewnym — rzekł Berthaud — że miliony, tak upragnione przez niego, nie dostaną się do jego ręki, bo spadek po panu Bonnet z Indyi dostanie się legalnym sukcesorom.

Dziwny uśmiech przemknął na te słowa po ustach pułkownika Robert.

— Będzie to oczywiście najlepsze rozwiązanie — rzekł z przekonaniem. — Mam nadzieję, że wszystko do soboty uda się pomyślnie... Chyba...

— Chyba co? — zapytał żywo baron. — Czy sądzi pan może, że morderca do tego czasu zakończy swoją działalność w inny sposób? Cóż on uczynić może w przeciągu kilku dni?

— Ma pan słuszność — przytaknął pułkownik. — Przedewszystkiem będzie zmuszony starać się o bezpieczeństwo własnej osoby, bo musi chyba wiedzieć o poszukiwaniach skierowanych za nim. Odchodzę więc zupełnie uspokojony kochany baronie i mam nadzieję, że na sobotniem przyjęciu u mnie będzie pan już całkiem zwolniony z tego drażniącego niepokoju i troski. Droga pani Olivio! Żegnam panią i raz jeszcze gorąco dziękuję za okazaną mi pomoc w tej krytycznej chwili.

Pułkownik skłonił się z wytworną galanteryą przed młodą kobietą, uścisnął dłonie obu mężczyzn i wyszedł odprowadzony do drzwi przez barona.

Na polach Elizejskich wsiadł do oczekującego na niego powozu i kazał się zawieźć do Belleville, na ulicę Pixecourt.

Przy tej to ulicy mieszkała stara Bruchon. Była bardzo znaną w tej dzielnicy i dosyć nawet lubianą, bo regularnie wypłacała swoje zobowiązania i umiała obchodzić się uprzejmie ze swojemi klientkami.

Kiedy dorożka zatrzymała się przed magazynem i pułkownik Robert podszedł do drzwi otwartych, jedna tylko służąca stała za ladą, zastępując w handlu nieobecną w tej chwili właścicielkę.

— Pani Bruchon? — zapytał pułkownik.

Służąca, starsza dziewczyna o niesympatycznym wyglądzie, wprowadziła go w milczeniu do pokoju znajdującego się poza sklepem. Pani Bruchon zajęta sprawdzaniem rachunków w zatłuszczonej książce, spostrzegłszy wchodzącego, porzuciła natychmiast zajęcie i żywo podbiegła do niego, przysuwając mu uprzejmie krzesło. Ale pułkownik odmówił ruchem ręki.

— Dziękuję, mam niewiele czasu i nie mogę tu dłużej zabawić nad parę minut.

— Pan chce ze mną pomówić o tej małej? — zapytała pani Bruchon ciekawie.

— Tak, o Gilbercie przedewszystkiem. Przypuszczam, że pani opiekuje się nią starannie i nie opuszcza ani na chwilę.

— Oh! Może pan być spokojny! Taki miły aniołek!

— Czy mówiła co do pani?

— Nie, ale jest bardzo smutna i zdaje mi się, że biedactwo płakało.

— Trzeba jej powiedzieć, że stan ten nie potrwa długo, że wkrótce opuści tymczasowe swoje schronienie, ale byłem zmuszony postąpić w ten sposób, przez wzgląd na nią i jej spokój.

— Wiem o tem, proszę pana. Postaram się ją uspokoić i ułagodzić jej smutek.

— Czy nie zauważyła pani, aby ktoś krążył koło domu?

— Dotąd nie widziałam nikogo.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z tygodnia.

Urzędowe wytłómaczenie uwięzienia Piłsudskiego.

„Deutsche Warsch. Ztg.“ wychodzący w Warszawie niemiecki oficyalny organ gen. gubernatorstwa ogłosił następujący komunikat:

Przyaresztowanie Piłsudskiego i przewiezienie do niemieckiej fortecy spowodowały dyskusyę, która zaciemnia istotny stan rzeczy.

Jak stwierdzono w Nr. 21 „Deutsche Warsch. Ztg.“, zarządzenie to nastąpiło, gdyż pod żadnym warunkiem poza frontem wschodnim — zresztą również i dla obrony Polski — za ciężko walczącemi wojskami nie można ścierpieć rzeczy, które na szwank narażają bezpieczeństwo wojskowe.

A tak postępowała tajna P. O. W. (Polska Organizacya Wojskowa), za którą w pierwszej linii Piłsudski ponosi odpowiedzialność.

On jest odpowiedzialnym za to, że postawa P. O. W., która z początku, jak się wydawało, stopi się z powstającem nowem wojskiem polskiem, stawała się coraz bardziej nieprzyjacielską dla mocarstw centralnych i że jej podziemne organy coraz bardziej drażniąco przemawiały. Jego obciąża, że P. O. W. w ostatnim czasie wydała instrukcyę z licznemi wskazówkami, na mocy których miała być sprowadzoną zaostrzona i zupełna konspiracya.

P. O. W. miała stworzyć tajne państwo w państwie z odpowiedniemi organami i przynależnych do tego tajnego państwa zobowiązać przysięgą do bezwzględnego posłuchu.

Notorycznie jest Piłsudski rzeczywiście głową P. O. W., stwierdzono ponadto, że do Departamentu wojskowego Rady Stanu prócz swego przyjaciela Sosnkowskiego równocześnie i z równych powodów aresztowanego, wprowadził jako pomocników członków P. O. W.

Nie pozostawało więc nic innego, jak ująć go wraz z współwinnymi.

W związku z aresztowaniem jego, które nastąpiło ze względu na bezpieczeństwo wojskowe, była na tem miejscu mowa, że Piłsudski, przekraczając granicę Królestwa, wedle meldunku austryackich władz, użył legionowego dokumentu podróży, zaś, jak dochodzenia tutejsze wykazały, taki dokument legionowy nie istniał.

Obecnie wykazało się, że Piłsudski był w posiadaniu wystarczającego austryackiego dokumentu podróży, tak, iż nie wiadomo, dlaczego miałby się posługiwać nie tym dokumentem, lecz fałszowanym. Wobec tego nie jest wykluczonem, że u władz austryackich zaszła omyłka i że podejrzenie używania fałszywego paszportu jest bezpodstawne.

Aczkolwiek to podejrzenie przy aresztowaniu Piłsudskiego w stanowczej formie zostało ujawnione i na tem miejscu zostało powtórzone, nie zwlekamy, aby je na tem samem miejscu zdementować, stwierdzając równocześnie, że aresztowanie jego i współwinnych było koniecznością, celem zapobieżenia, aby — powtarzamy to raz jeszcze — w nowopowstającej Polsce poza plecami walczących wojsk, nie rozwijały się rzeczy, nie należące do żadnego prawnego ustroju państwowego.

Wkroczenie do Czerniowiec.

Wojenna kwatera prasowa przy sztabie generalnym armii austro węgierskiej tak opisuje wkroczenie zwycięskich wojsk do odzyskanych Czerniowiec, przyczem krakowski pułk „trzynastaków“ odegrał wybitną rolę:

Już dnia 2 b. m. o godzinie 5 po południu patrol 5 tej dywizyi piechoty austryackiej wdarł się do Czerniowiec, a w ciągu nocy weszły za nim patrole chorwackie i honwedów. W ścisłym kontakcie z nieprzyjacielem przeszły one przez miasto.

Dnia 3 b. m. o godzinie 7 minut 30 przed południem nadeszły przednie oddziały kolumn piechoty. Szczęśliwa ludność radośnie witała wojska i wodzów. W godzinę później odbyło się na ratuszu uroczyste przyjęcie, które upamiętniono protokołem.

Także przed ratuszem zebrały się tysiące uradowanej ludności. Przedstawiciele miasta i duchowieństwa w podniosłych słowach dali wyraz radości i szczęścia ludności z powodu wkroczenia c. i k. wojsk. Odpowiedział pierwszy obecny generał-major Felix. Tysiączne okrzyki radości były odpowiedzią na płomienne słowa generała.

Komendant frontu wojsk, arcyksiążę Józef, wszedł do miasta na czele oddziałów pułku piechoty Nr. 13 i kilku bateryi, o godzinie 12 minut 30 po południu. Na rynku witała arcyksięcia urroczyście reprezentacya miejska i duchowieństwo. Radosnemi okrzykami witali obywatele arcyksięcia.

W samem mieście dworzec jest znacznie uszkodzony, zakład wodociągowy i elektrownia dosyć znacznie, oba mosty wydatnie rozsadzone, wiele mieszkań splądrowanych. Liczni austryaccy i węgierscy jeńcy wojenni, którym w zamęcie rosyjskiego odwrotu udało się uciec, zgłosili się do wkraczających wojsk. Wkroczenie do Czerniowiec było szczęśliwym początkiem odzyskania prawie całej Bukowiny.

Uprzywilejowanie Polaków w Rosyi.

Rewolucyjny rosyjski rząd tymczasowy zaznaczył swoje panowanie, między innemi, nietylko zniesieniem ograniczeń praw Polaków w Rosyi, dawnych poddanych caratu, na równi z innemi narodowościami, ale także krokiem, który oznacza nawet pewne uprzywilejowanie Polaków. Mianowicie, na mocy uchwały rządu tymczasowego zniesione zostały ograniczenia prawne wobec Polaków, poddanych państw prowadzących wojnę z Rosyą.

Zarządzenie to, powzięte na plenarnem posiedzeniu w nocy z 29 na 30 czerwca przyznaje Polakom, poddanym państw wojujących z Rosyą, o ile wykażą się świadectwem centralnego wydziału opieki nad jeńcami wojennymi i cywilnymi, a więc polskiej organizacyi społecznej, prawa swobodnego zamieszkiwania w całej Rosyi, oraz znosi wszystkie ograniczenia praw osobistych i majątkowych i równa ich z poddanymi państw zaprzyjaźnionych z Rosyą.

Najważniejsze dwa ustępy odnośnego zarządzenia brzmią:

§ 1. Osobom polskiej narodowości z wyjątkiem jeńców wojennych, poddanych państw wojujących z Rosyą, które przedstawią osobne osobiste świadectwa Centralnemu Wydziałowi pomocy jeńcom Polakom, wydają miejscowe władze dokumenty, wedle przepisów ustawy, uprawniające do swobodnego zamieszkiwania w całem państwie rosyjskiem.

§ 2. W stosunku do osób polskiej narodowości, które przedstawią świadectwo Centralnego Wydziału pomocy jeńcom wojennym i cywilnym Polakom, znosi się wszystkie ograniczenia praw osobistych i majątkowych, ustanowionych bądź przez rozporządzenia administracyjne władz wojskowych lub cywilnych w stosunku do poddanych państw wojujących z Rosyą. Wymienione wyżej osoby korzystają z wszelkich praw, przysługujących poddanym mocarstw zaprzyjaźnionych.

Zniszczenie wschodniej Galicyi.

Świeżo oswobodzona od najazdu rosyjskiego Galicya wschodnia znowu drogo zapłaciła za ten pomyślny zwrot losów wojny. Liczne jej miejscowości padły ofiarą ognia armatniego lub podpaleń, mieszkańcy ich stracili mienie, wielu życie. W pismach lwowskich znajdujemy następujący tymczasowy i naturalnie niezupełny wykaz tych miejscowości:

Olejów stosunkowo mało ucierpiał. Kadobińce i Reremowce uległy niemal zupełnemu zniszczeniu. Presowce całkiem zniszczone, w Zarudziu 3 chaty ocalały, dwór zrujnowany. Bardzo ucierpiał Hodów, zwłaszcza dwór, znacznie mniej Żabin i Kalne. Zborów cały zniszczony. W Jezierney jedna ulica przy gościńcu spalona. Na przestrzeni kilku morgów były ogromne składy amunicyi, pozostawionej przez Rosyan. Wieś Cebrów w jednej trzeciej części zaledwie ocalała, reszta zaś znikła z powierzchni. W Glinnej pół wsi zniszczonej i spalonej, dwór rozebrany całkowicie.

Do tego trzeba dodać znane już zniszczenia części Tarnopola, Brzeżan i Stanisławowa, należy uprzytomnić sobie, że taka np. Nadwórna istnieje już tylko na mapie. Dalsze informacye niewątpliwie powiększą ten bolesny spis.

Koszta caryzmu w Rosyi.

Upadek tronu carskiego w Rosyi przypuszczać należy znakomicie „odciąży“ pogarszający się coraz bardziej w czasach ostatnich budżet rosyjski. Zwykłe bowiem roczne dochody ministeryum dworu wynosiły „tylko“ 42,148.000 rb.

Wydatki przedstawiały się następująco: Na wydatki rodziny cesarskiej 867.000 rb., utrzymanie pałaców w Petersburgu 2,400 000 rb., utrzymanie pałaców w Peterhofie 1,117 000 rb., w Carskim Siole 1,935 000 rb, w Gatczynie i Moskwie 1,445.000 rb; wydatki związane z urzędem marszałka dworu 1 619 000 rb., garaże i stajnie 1,338 000 rb; wydatki na cesarskie polowania 345.000 rb., utrzymanie kredensu cesarskiego 39 000 rb. i wydatki na ochronę pałaców 1 041.000 rb.

Wydatki powyższe bynajmniej nie wyczerpywały rozchodów rodziny cesarskiej jak również preliminowane w budżecie dochody daleko były od od istotnych wpływów i bogactw carskich. Istotne źródło dochodów cesarskich stanowią aparaże i danych wyczerpujących tutaj brak, według jednak księgi pamiątkowej dworu rosyjskiego z 1897 r. wynosiły one około 20 milionów br. rocznie. Oprócz tego rozporządzała jeszcze rodzina cesarska olbrzymimi terenami o nieoszacowanem wprost bogactwie na Syberyi. W Altaju tereny te obejmują 16,000.000 dziesięcin, w Nerczyńsku do korony należy około 10,000.000 dziesięcin. Cały okręg nerczyński obfituje w minerały jak złoto, srebro, żelazo, ołów, sodę i t. p. Prawo eksploatacyi ziem kornnych przysługiwało jedynie koronie, posiadała regalia rozciągające się na prywatne kopalnie w Nerczyńsku. Regalia cesarskie i specyalne przepisy hamowały rozwój przemysłu górniczego w Rosyi.

Obecnie kosztownej tej przyjemności posiadania tak wspaniale uposażonego cara pozbyła się Rosya, bodaj na zawsze.

Z działalności kulturalnej na prowincyi w Królestwie.

(Do illustracyi na str. 4).

Zaniedbana dotąd pod względem pracy kulturalno-oświatowej prowincya Królestwa Polskiego zwolna dźwigać się i ożywiać zaczyna. Powstają w różnych miejscowościach okupacyi austryackiej nowe jej placówki. Jedną z takich placówek jest Boszczynek w ziemi kieleckiej. W dniach 9—11 lipca b. r., dzięki zabiegom i niezmordowanej energii Juliusza Slaskiego ze Skorczowa, prezesa „Kółka rolniczego“ w Boszczynku, jak również staropolskiej gościnności pani Slaskiej, oraz państwa Kazimierzostwa Slaskich, właścicieli majątku Boszczynek, oraz pracy pana J. Piwowarskiego, zamiłowanego pszczelarza i p. Kazimierza Steckiego, dyrektora stacyi doświadczalno-rolniczej w Kazimierzy Wielkiej, odbył się tam trzechdniowy kurs rolniczo-ogrodniczo-hodowlano-pszczelarski dla włościan. Wykłady rolnictwa objął p. dyrektor Stecki; hodowlę zwierząt p. Kazimierz Slaski; anatomię zwierząt p. Stefan Miernicki; pszczelarstwo p. J. Piwowarski, oraz ogrodnictwo p. J. Wroński. Na kurs zapisało się 35 słuchaczy i słuchaczek, sam wybór z pośród okolicznych gospodarzy rolnych. Życie się ogólne było nadzwyczaj serdeczne i szczere. Po skończonym kursie i egzaminach, które złożyło pomyślnie 28 słuchaczy i słuchaczek, kiedy p. Włodzimierz Zawilński zwrócił się do włościan ze słowami zachęty do pracy wspólnej nad odrodzeniem zmartwychwstającej Ojczyzny, grad oklasków twardych, dziękował mu za jego proste i jasne słowa, budząc gdzieś hen — uśpione uczucia i nawiązując, zerwane od lat wielu — nici.

Komitetowi organizacyjnemu kursu tym większe należy się uznanie, iż w tych okolicach, do tej pory, nigdy „kursy“ podobne prowadzone nie były.

Kronika tygodniowa.

Zanim przystąpię do materyału, który był przygotowany do niniejszej kroniki, muszę jeszcze zakończyć poprzednią. Uciął jej znowu ogon nielitościwy pan metrampaż, nie mający na to żadnego względu, że atrament obecnie coraz droższy! Niech mu Pan Bóg tego nie pamięta, bo ja mu to przebaczam!

Narzekałem wówczas na różne braki i niedomagania życiowe, będące następstwem wojennych czasów, ale, dzięki właśnie panu metrampażowi, nie mogłem dopowiedzieć tego, co miałem na myśli.

Brakuje nam prawie wszystkiego, na to się zgadzam, ale przecież stwierdzić muszę, że mamy czegoś nawet zbyt dużo, tak, że moglibyśmy się tem podzielić z innymi. Zachodnie prowincye zazdroszczące nam stale, iż mlekiem i miodem opływamy, mają teraz bardzo wdzięczne pole do popisu. Odstąpimy im zupełnie bezinteresownie.

Mamy mianowicie zadużo złodziei różnego kalibru i to takich, którzy mają swe firmy już dawno zarejestrowane w sądzie, jak również i, nazwijmy ich, pokątnych, to jest, pracujących na własną rękę w zupełnej cichości i odosobnieniu. W ostatnich zwłaszcza czasach, gdy warunki bytu stały się tak ciężkie, namnożyło się ich takie mnóstwo, iż prawie dnia niema, by kroniki policyjne nie notowały, że tam a tam dokonano kradzieży. Władza niektórych sprawców dostaje w swe szpony, za innymi śledzi i, nie zważając bynajmniej na to, że to przecież przemysł krajowy, który należałoby popierać, łamie głowę ciągle nad tem, jakiego radykalnego użyć środka, by społeczeństwo uwolnić od tej plagi.

Ktoś podał projekt, iż należałoby w tym kierunku spróbować zdolności naszych telepatów, ogłaszających stale, iż telepatya przyczynia się (a przynajmniej może...) do rozwiązania nawet najbardziej zawiłych zagadnień z dziedziny kryminologii.

Zwrócono się więc do jednego z telepatów z prośbą, by zechciał przyłożyć rękę do wykrycia zbrodniarza, który dopuścił się jakowejś kradzieży. Odparł, że i owszem, ale jest jeden warunek.

— Jaki? — zapytano.

— Muszę mieć odpowiednie medyum! — brzmiała odpowiedź

— Prosimy o bliższe określenie...

— Hm!... Jakby to powiedzieć!.. Musi to być osoba, mająca dość fluidu.

— Taka się znajdzie! To nie ulega wątpliwości!

— ...No i wiedząca o tem, kto ukradł i gdzie schował!... Ono mnie zaprowadzi, a ja już znajdę!...

Ponieważ jednak o takie właśnie medyum było trudno, całą sprawę odłożono na powojenne czasy, gdy telepatya będzie miała więcej sposobności do rozwoju.

Kto jednak wie, czy owa różdżka czarodziejska, o której tyle swojego czasu pisano i mówiono, nie mogłaby oddać pewnych usług, dajmy na to przy wyszukiwaniu magazynów artykułów spożywczych... Podobno w niektórych okolicach miasta (zwłaszcza zaś na Kazimierzu) ściany piwnic, gdyby mówić umiały, mogłyby dużo powiedzieć. Potem tą samą czarodziejską różdżką możnaby owym hyenom aprowizacyjnym, dzięki niej wykrytym, wymierzyć należytą karę, wyliczając ją w gotowiźnie (one tylko za gotówkę sprzedają!...) na najczulsze miejsce ich cielesnej powłoki.

W każdym razie byłby to pewien tryumf dla telepatyi, mającej, obecnie przynajmniej, zbyt mało u nas zwolenników.

Tyle należało do poprzedniej kroniki, wobec czego przechodzę do innego materyału, na czoło którego wybija się naturalnie wybuch w Mogile, dzięki któremu straciłem swe okulary, które w owym krytycznym dniu, a raczej w przeddzień położyłem własnoręcznie na stole i na drugi już ich tam nie znalazłem. Czy zdmuchnął je prąd powietrza, czy też może znajdę je za kilka dni w której kieszeni, tego na razie powiedzieć nie mogę, w każdym wypadku przecież na drodze prawa dopominać się muszę o odszkodowanie, zwłaszcza, że bez okularów nie mógłbym sobie w życiu dać rady. Raz mnie brak ich o mały figiel nie rozłączył z mą poczciwą Weronisią. Przez pomyłkę pocałowałem wówczas kucharkę, w tem jednak świętem przekonaniu, że to moja prawowita małżonka. Ile było z tego powodu kłopotów, tłumaczeń i t. d. nawet nie chcę wspominać, by niepotrzebnie nie wywoływać napowrót wilka z lasu!

Ale wracajmy do rzeczy!

W owym dniu, kiedy miała miejsce ta katastrofa, o godzinie siódmej minut trzydzieści rano, spałem jeszcze snem sprawiedliwych, jak to przystoi zrównoważonemu obywatelowi, którego żona na świeże powietrze nie wyjechała. Obudziłem się, to prawda, ale zaraz potem zamknąłem najpierw prawe oko, potem lewe i już miałem się przewrócić na drugi bok (a śniły mi się numery na loteryę, jakie jednak, zapomniałem...), gdy Weronika złapała mnie za rękę, wołając:

— Prędko!... Do piwnicy!...

— Do piwnicy? — rzekłem, otwierając, dla rozmaitości, najpierw lewe oko, potem prawe. — A pocóż ja tam mam iść?... Wiem przecież, że węgli niema, brak też wszelakiej wilgotności...

Ale Weronika nie dała za wygraną i wołała dalej, w coraz większym ferworze:

— Wstawaj!... Prędko do piwnicy!...

Przetarłem jeszcze raz oczy (choć nie wiem, czy to przedtem zrobiłem!...) i zapytałem zupełnie spokojnie:

— A to po co?...

— I ty jeszcze pytasz?!... — wrzasła mi nad uchem, zdzierając ze mnie kołdrę. — Napad lotników nieprzyjacielskich na Kraków!... Słyszysz, jak gwizdają syreny?

— Kochanko! — odparłem. — Zapewne gwizda ci w nosie! Wczoraj narzekałaś przecież na katar!...

— Dzwonią na alarm... — ciągnęła dalej, naciągając drugi pantofel.

— Pewnie w uchu ci dzwoni!... To się zdarza przy katarze...

Tymczasem huknęło drugi raz. Szyby zadźwięczały, ale, na złość firmie Grünwaldów, żadna z nich nie pękła... Zacząłem wierzyć, że dzieje się coś niesamowitego i jednym susem znalazłem się okok łóżka, ubrałem się prędko, nie zjadłem nawet śniadania i by mieć autentyczne wiadomości z pierwszej ręki, podążyłem na miasto. W pierwszej chwili miałem zamiar kupić sobie „Kuryerka" w tem przeświadczeniu, że „tam o tem coś już stoi", ale zaraz przyszła refleksya, że to przecież nie jest możliwe.

Na plantacyach spotkałem znajomego. Pędził, tak samo, jak ja, ale z wprost przeciwnej strony.

— Panie! Bomba!... — zawołał, ujrzawszy mnie.

— Gdzie?... — zapytałem zaciekawiony.

— Ba! Gdybym wiedział, nie pytałbym pana o to!... Pan, jako dziennikarz, powinien być o tem najlepiej poinformowanym!

— Panie kochany! — tłumaczyłem się. — Ja dopiero się obudziłem, nie wiem o niczem!

— Jako dziennikarz, powinien pan o tem wiedzieć!... To pański obowiązek!... Za cóż płacę prenumeratę!...

— Dowie się pan, ale we czwartek, gdy wyjdą „Nowości"!

— Ja chcę dziś!... Zaraz!... W przeciwnym razie proszę mnie wykreślić z listy abonentów!...

— Z tem żądaniem raczy się pan kochany zwrócić do administracyi naszego pisma!... To nie leży w mej kompetencyi!... Ale, powiedz mi pan, co to tak strzeliło?

— Z pewnością bomba!

— Jaka bomba?

— No, jaka?... Taka, jak swojego czasu na ulicy Jasnej!

— Śmiej się pan z tego.. To była blaga, nie bomba!

— Co pan mówi!... Sam widziałem na swoje własne oczy porcelanowe czerepy...

— Może to ta firma, w której skład rzekomo bomba uderzyła, chciała sobie zrobić reklamę?

— Co też pan mówi!... Taka solidna firma reklamy nie potrzebuje!...

— I ja jestem tego samego zdania!... No, ale dajmy spokój tamtej bombie, powiedz mi pan, co to tak huknęło?

— Gdybym wiedział!... Dlatego przecież pana o to pytałem!... Moja teściowa siedzi w piwnicy...

— Moja nie!

— Dlaczego?

— Bo ja nie mam teściowej!...

— Toś pan szczęśliwy!...

To rzekłszy, westchnął serdecznie. Ostatecznie pokazało się, że co się tyczy owego huku, to obaj nic nie wiemy, ja, choć dziennikarz, a ów jegomość, choć urzędnik magistratu, który z obowiązku powinien być dokładnie poinformowany o tem, co się dzieje w mieście. Mam go jednak za wytłumaczonego, wybuch bowiem miał miejsce nie na terytoryum miasta Krakowa, ale w Mogile, dokąd dawniej jeździło się we wrześniu na odpusty.

Ciekawością wiedzeni, doszliśmy obaj aż w samo centrum miasta i tutaj aż do samego południa zbieraliśmy różne informacye „na własnym drucie" i bez drutu. Nasłuchaliśmy się tylu najokropniejszych okropności (każdy z opowiadających widział wszystko na własne oczy lub przynajmniej słyszał na własne uszy...), iż nie pozostawało nic innego, jak poczekać na wydanie wieczorne dzienników. (Ciekawy jestem, dlaczego tak się nazywają, skoro wychodzą pod noc?... Przyp. zecera).

I tak się też stało. Dowiedzieliśmy się, czarne na białem, o przyczynie i skutkach eksplozyi, które jednak były daleko straszniejsze, gdy się wróciło po dziesiątej do domu, równocześnie na śniadanie, obiad i kolacyę, których, nawiasem mówiąc, nie było, gdyż jak się później pokazało, skutkiem wybuchu w Mogile popsuł się piec w Krakowie...

Smutne to wspomnienie, rzućmy więc na nie raczej zasłonę, konstatując jedynie, iż wielu było takich, którzy byli pewni, że to na Kraków napadła już eskadra dwudziestu pięciu tysięcy amerykańskich aeroplanów, o których w poprzednich kronikach wspominałem. Wynik eksplozyi w mieście: trochę strachu, więcej potłuczonych szyb. Przyczyna: jak się zdaje, wpływ gorąca.

Z tej okazyi otrzymałem onegdaj list następującej treści:

„Wielmożny Panie Kronikarzu!

Kilkakrotnie w sposób uszczypliwy wyrażał się pan w swych tygodniowych referatach o krakowskich budynkach, twierdząc, że budowane są według prawideł nowoczesnej techniki, co zaś za tem idzie, iż (to było napisane między wierszami...) powinny się zwalić i to nie czekając nawet na trzęsienie ziemi.

Na razie trzęsienia ziemi nie było, był jednak wybuch, a żaden z domów, które są naszem dziełem, dotąd się nie zawalił!

I co Pan na to?... Jak Pan teraz wygląda?... Upraszamy o zrehabilitowanie nas w oczach P. T. Publiczności, w przeciwnym bowiem razie musielibyśmy użyć środków przymusowych.

Z poważaniem

Grono architektów i budowniczych."

P. S.

Gdyby Pan miał zamiar rozpoczęcia jakiej budowy, polecamy się łaskawym względom. Na każde żądanie możemy służyć ofertami".

Tyle miałem powiedzieć a raczej napisać o eksplozyi, reszta miejsca, jakie mam do rozporządzenia, należy się polityce przedewszystkiem, gdy zaś okoliczności pozwolą i innym sprawom.

Obecnie zaś konstatujemy, iż ogólne rozpolitykowanie, pomimo pory letniej, osiągnęło punkt najwyższego napięcia i grozi każdej chwili katastrofą. Można powiedzieć, iż dziś w przeciwieństwie do dawnych czasów, gdy na porządku dziennym były kombinacye strategiczne, każdy, czy to stary, czy młody, mężczyzna, czy kobieta, zajęty jest tylko polityką i to zakrojoną na jak najszerszą skalę i stawia horoskopy na przyszłość, nawet w tym wypadku, gdyby obecna wojna miała trwać lat trzydzieści (nie licząc niedziel i świąt).

Przedewszystkiem więc wygłaszają mowy wielcy politycy, którzy tem się tylko zajmują, więc różni panowie Czerniny, Michaelisy, Cecile Rhodesy, Lloydy George, Riboty, Kiereńscy *et tutti quanti*, a przedstawiają sprawę tak jasno, iż nie ulega już żadnej kwestyi, że pokój wisi w powietrzu, ale nie wiadomo, jak i gdzie, z drugiej zaś strony można być pewnym, iż bez czwartej kampanii zimowej się nie obejdzie. Najważniejsza rzecz, kto ma pierwszy wyciągnąć rękę do pojednania i na jakich warunkach. Te warunki, to główny i najważniejszy szkopuł, o który stale się wszystko rozbija, choć wytyczna już postawiona: bez aneksyi i odszkodowań!

Nawet młodzież szkolna, nie wyłączając ludowej i wydziałowej, bierze żywy udział w życiu politycznem i żąda swego przedstawiciela w przyszłym kongresie pokojowym, licząc w tym kierunku na wybitne poparcie prezydenta Wilsona i reszty koalicyi.

Pisma codzienne zajmują się też polityką nie na żarty i to nie tylko wynurzeniami wybitnych polityków, ale nawet i ich strojem. Wiemy więc, że Kiereńskij, który, według telegramów, usuwa się już z życia politycznego, chodzi ubrany w czarną, zapiętą do góry „litewkę" z najlepszego materyału, pochodzącą prawdopodobnie z pierwszorzędnej pracowni Petersburga, a krój spodni nie pozostawia nic do życzenia. Ku tym to właśnie spodniom skierowane są wszystkie westchnienia rosyjskich patryotów i w nich, a raczej w tym, który w nich tkwi, cała nadzieja, że zbawi Rosyę. Widocznie jednak czuje, że „nie da rady", skoro ma zamiar wycofać się z życia politycznego.

Polityk przecież politykowi nie równy. Tak, jak są armaty o rozmaitym kalibrze, tak też mamy różnych większych i mniejszych polityków. Do największych zaliczam pana Kamila Huysmansa, który łaskawie obiecał nam upragniony dostęp do morza, ale... po umiędzynarodowieniu dróg wodnych. Możemy być wtedy od jego brzegów bardzo daleko, ale nikt nam nie zabroni Wisłą pożeglować do Gdańska, lub Dniestrem do morza Czarnego. Ta druga podróż będzie trudniejsza, Czarne bowiem morze zabiera dla siebie Ukraina. Nad tem ma czuwać nowy minister-rodak ukraiński. Kto nim będzie, dotąd nie wiadomo, choć kandydatów jest wielu, n. p. Wassilko, Kost Lewickij lub w ostatku pan Staruch.

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.
Ułożył Romcio Bandyta z Sosnowca.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą rozwiązanie.

—ir
—ak
—au
—ra
—an
—on
—os
—li
—ąs
—ga
—uc
—za
—ap
—ob
—li

Zadanie do przestawienia.
Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Daj cel, ryk i psy. Z. Zn.

Logogryf.
Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko bohaterki jednego z utworów Ibsena.

□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Inaczej bohaterstwo. 2. Raj u starożytnych. 3 Imię żeńskie zdrobniałe. 4. Ptak. 5. Kraj w Europie. 6. Kraj i miasto w Austryi. 7 Zawód. 8. Kraj w Europie. 9 Polski historyk. 10. Imię męskie. 11. Członek pewnego stronnictwa.

Zadanie na rozsypane litery.
Ułożył J. Markiewicz, Nagawczyna.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

b, c, c, d, e, e, e, e, g, i, i, i, i, i, ł, m, m, n, n, ń, o, o, o, r, t, u, u, y, z

Łamigłówka literacka.
Ułożył S. Winter, Tarnów.

Wyszukać utwory wyszczególnionych autorów. Początkowe ich litery, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko polskiego filozofa.

Grillparzer
Grabowski
Wilkoński
Pepłowski
Hołowiński
Zola
Schiller
Rawita
Göthe
Rzewuski
Grabowski

Zadanie do przestawienia.
Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Wiecha liczy Romka Set.

Grzebieniówka.
Ułożył J. Obtułowicz, Żywiec.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w rzędach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy nazwę skróconego pisma.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Zapłata (z łacińskiego). 2. Współzawodnictwo. 3. Oglądanie zwłok. 4. Ocena. 5. Pyszałek. 6. Ruchomy szpital.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył K. Przepolski, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Ta kasza w sieni piecze i ser.

Zadanie do uzupełnienia.
Ułożył E. Winter, Tarnów.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa znane polskie przysłowia:

1) - o - a - ieo - - a - a -, a - ya - - a - ie - - ie - a -.
2) - e - - - a - - o - a - u - a, - i - - u - - e - a - a - e.

Bilety wizytowe.
Ułożył St. Winter, Tarnów.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

REKUN
RĄCHYŻO.
ST. RIMINANT.
ED. WINTER.
Z PRĄD SUTENDYE

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Album Legionów polskich.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 30.

Zadanie do przestawienia: Kocioł garnkowi przymawia, a sam smoli.

Zadanie do przestawienia: I stary odmłodnieje, jak sobie podleje.

Łamigłówka historyczna: a) Perykles b) Sokrates.

Łamigłówka:

Sód
cud
hak
war
ara
rok
cap
era
nos
sok
tur
eta
iwa
noc

Zadanie do przestawienia: Kto smaruje, ten jedzie.

Logogryf:

z
o n a
D y a n a
k a r t a c z
M a s s o n i u s
s a n g w i n i k
r e n i f e r
g a c e k
I z a
b
e r a
c z o ł o
b o ż n i c a
o c h m i s t r z
P a s s a w a
F a ł a t
l a k
w

Zadanie na rozsypane litery: Toczący się kamień nie porasta mchem

Logogryf:

J o z u e
s a g a n
H a n k a
k r a s a
k a r a t
H a r r y
b r a m a
B u d d a
S u d a n

Bilety wizytowe: Infanterzysta. Magister. Farmaceuta. Słuchacz praw. Kuglarz.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków, D. Ligęza Kraków, D. Łodyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, W. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, E. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała, S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, S. Skowroński Wiedeń, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor. Ostrawa, S. Grodzicki Praga, S. Kamocki Przemyśl, J. Topolnicki Lwów, M. Wiśniewska Lwów, S. Bednarski Przemyśl, S. Jaśkiewicz Wiedeń, E. Winter Tarnów. E Bogdalska Koropuż, P. Warawa Miejsce Piastowe, J. Sosenko Munkacz, G. Węgrzyn Lwów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **S. Sokołowski, Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Cukier a przetwory owocowe. Towarzystwo „Eleuterya“ komunikuje nam: W ostatnim czasie wystosował Związek „Eleuterya“ w Krakowie do prezydyum namiestnictwa w Białej memoryał, zaopatrzony licznymi podpisami, w którym przedstawiono szereg postulatów, mających doniosłe znaczenie dla podniesienia zdrowotności publicznej, jakoteż dla ułatwienia akcyi wyżywienia ludności w czasie wojny. Między innemi wskazano na naglącą potrzebę rozdawnictwa w bieżącym roku dodatkowych kart na pobór cukru na przetwory owocowe ze szczególnem uwzględnieniem rodzin, w których znajdują się dzieci i osób chorych. Sprawę tą umotywowano obszernie, wykazując, pod jakimi warunkami i w jakich granicach postulat ten dałby się urzeczywistnić, nawet przy obecnych skąpych zapasach cukru. Wiadomo, że cukier jest dla dzieci jednym z głównych środków odżywczych, a ograniczenia w tym kierunku muszą ujemny wpływ wywrzeć na ich rozwój. Wzrastająca z dnia na dzień śmiertelność dzieci, których wyżywienie staje się coraz trudniejsze z powodu braku i drożyzny przedniejszych artykułów żywności, uzasadnia aż nadto tą kwestyę.

Ponadto wyzyskanie bogatego u nas zbioru jagód i owoców i zachęcenie ludności do skrzętnego zbierania i zakupywania tych produktów możliwe jest tylko przez ułatwienie ludności nabywania cukru we właściwym ku temu okresie.

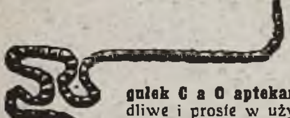
W przeciwnym bowiem razie poważne ilości tak jagód jak i owoców, nie dających się bez cukru przetworzyć względnie zachować, będą stracone dla konsumcyi późniejszej, a wyżywienie biedniejszej ludności, szczególnie dzieci, będzie znacznie utrudnione w czasie najkrytyczniejszym t. j. w zimie i na wiosnę. Wobec cofnięcia w bieżącym roku dodatkowych kart na pobór cukru na przetwory owocowe, stać się to może łatwo, pomimo zorganizowanej akcyi c. k. Urzędu wyżywienia ludności w kierunku dostarczenia przeznaczonego na powyższy cel całego zapasu cukru, zamiast jak dotychczas rodzinom, produkcyi fabrycznej, która nie zdoła zrównoważyć tej straty, jaka grozi ogólnej konsumcyi.

Wspomniany wyżej memoryał, który pojawi się w całej osnowie w najbliższym numerze „Switu“, organu Towarzystwa, przesłano w odpisie c. k. Urzędowi wyżywienia ludności w Wiedniu, powstającemu ministerstwu zdrowia publicznego i ubezpieczenia społecznego, ministerstwu Galicyi, prezesowi Koła Polskiego, drowi Łazarskiemu i kierownikowi ministerstwa sprawiedliwości, drowi Schauerowi.

Jedyny w Krakowie, który posiada własny wyrób trumien

Zakład pogrzebowy „Concordia“ Jana Wolnego

Kraków, Plac Szczepański L. 2 (dom własny) — Telefon Nr. 331.



Tasiemiec

wraz z głową bez trudu szybko i pewnie usunięty zapomocą **pigułek C a O aptekarza Vértes'a.** Zupełnie nieszkodliwe i proste w użyciu. **Poczem poznaje się istnienie tasiemca?** Po tem, że sprawia rozmaite dolegliwości temu, kto posiada, jak: kolki i kurcze żołądkowe, uczucie parcia w trzewiach, jak gdyby kłęby cisnęły się aż po gardło, wiatry i upławy, sączenie się w kiszce stolcowej, napady zawrotów głowy, brak apetytu naprzemian z wielkim głodem, znużenie i niechęć do pracy, obfite wydzielanie śliny, gorzkie odbijanie się itp. Jako zewnętrzne oznaki należy wymienić: sino obwiedzone oczy, osobliwa bladość skóry, blada twarz, obłożny język, chudnienie, nadęty żołądek. — Przy zamówieniach należy podać wiek osoby. 1 puszka **C u O pigułek** K 9·30 franko (opłatnie). Do nabycia u **L. Vértes'a apteka pod „Białym Orłem“, Lugos 741, Banat.**

K 15·— zegarek z łańcuszkiem,



wisiorkiem i futerałem

moja imitacya zegarka srebrnego Anker-Remontoir, 30 godzin idący, dobrze uregulowanego, werk Anker, razem z pięknym łańcuszkiem, wisiorkiem i futerałem, jak długo zapas starczy, wszystko razem

tylko kor. 15 za sztukę.

Trzech letnia pisemna gwarancya.

Wysyłka tylko za zaliczką.

Max Böhnel

Wien, IV., Margaretenstrasse Nr. 27/62.

Oryginalna lista fabryczna darmo.

Potrzebny uczeń do drukarni i kliszarni Nowości Illustrowanych.

KINO-WANDA

przy ulicy św. Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

W Administracyi Nowości Illustrowanych

jest do nabycia

Księga pamiątkowa wielkiej wojny.

Cena: oprawne w płótno 3 kor., w karton 2 kor., broszurowane 1·50 kor.

Jedwabne materye

lniane obrusy, ręczniki i chustki do nosa poleca firma

Prokop Skorkovský i syn

Humpolec, Czechy.

Próbki przesyła się na żądanie tylko bezpośrednim konsumentom. Towary w dobrym gatunku.

Dobry aparat do golenia i strzyżenia.



Ia. brzytwa z srebrnej stali K 3·50, 4.—, 5.—, aparat bezpieczeństwa do golenia niklowany K 3.—, 5.—, marka „Perfekt“ z 6 nożami K 16.—, 20.—, podwójne noże rezerwowe za tuzin K 5·—, 6·—. Ia. maszynka do strzyżenia K 11.—, 12.— Wysyłka za pobraniem lub poprzedniem nadesłaniem należytości. Zamiana dozwolona lub zwrot pieniędzy.

HANNS KONRAD

dom wysyłkowy w Brüx Nr. 1747. (Czechy).



Każda kobieta

czyta moje bardzo interesujące pouczenia nowoczesnego

pielęgnowania biustu.

Cenne porady dla niemających biustu. — Piszcie z zaufaniem do

IDA KRAUSE, Pressburg (Węgry), Schanzstrasse 2, Oddział Nr. 10.

Nic nie kosztuje.

Najmniejsza

książeczka do nabożeństwa p. t.: „Książeczka miniaturowa“ (⁵/₇ ctm.). Prześliczne wydanie, wyborowa treść dla intelligencyi, elegancka oprawa. Po otrzymaniu K 3·96 wysyła franco Księgarnia katolicka **dra Władysława Miłkowskiego** w Krakowie, ul. Floryańska 1. Taż sama książeczka, oprawna w miękką cielęcą skórkę kor. 5·96 z przesyłką.

Administracya Nowości Illustrowanych

wysyła za poprzedniem nadesłaniem gotówki następujące książki:

a) **„Wojenny Balonik“**
Wacława Grabiańskiego
cena 1 kor

b) **„Po ślubie“**
Artura Gruszeckiego
cena 4 kor.

Na porto polecone nadsyłać należy dla *a)* 50 hal., dla *b)* 70 hal.

Za wysyłki niepolecone Administracya nie odpowiada. — Za zaliczką nie wysyła się

Krem twarzowy jako puder.



Precz z każdym pudrem, który tylko pory zatyka i bezwarunkowo robi z czasem zmarszczki w twarzy. Używajcie **perłowego pudru kremu dr. A. Rix** białego, różowego i kremowego. Krem puder jest zupełnie nieszkodliwy, nie jest to żadna szminka, nadaje twarzy natychmiast matową, delikatną cerę. Do pielęgnowania skóry i piękności niezrównany i oszczędny w użyciu. Próbna doza kor. 2·—, większa doza na cztery miesiące wystarczająca koron 4·—. Wysyła pod ścisłą dyskrecyą

Kosmetyczne preparaty dra A. Rixa

Wiedeń IX. Lakiergasse 6/F.

Do nabycia **w Krakowie:** Apteka Wiszniewskiego, ul. Floryańska 15. Perfumerya Reim i Ska, Rynek 35. K. Miklaszewski, plac Dominikański. Komorowskiego, Floryańska 33. Beckner, Długa 4. **We Lwowie:** Apteka Rucker, ul. Krakowska, apteka Rafaela, ul. Gołuchowskiego. Perfumerya Sładowskiego. **Tarnów:** Drogueryа Bracha. **W Bielsku:** Drog. Połaczka, ul. Kolejowa. **Lublin:** Perfumerya Stankiewicza. **W Białej:** Drog. Tanewski.

8 halerzy



kosztuje karta korespondencyjna, zapomocą której zamawiać można mój główny katalog który na żądanie bezpłatnie wysyła:

Pierwsza fabryka zegarków

Hanns Konrad

c. i k. nadw. dostawca w Brüx Nr. 1569 Czechy

Niklowy albo stalowy zegarek Anker K 16—, 18—, 20—. Wojenny zegarek radiowy K 18·—, 22·—, 26·—. Zegarek z białego metalu (srebro Gloryа) podwójna koperta Anker remontoir K 28·—, 30·—, pozłacany zegarek Anker remontoir z podwójną kopertą K 36·—, 38·—. Prawdziwy srebrny Anker remontoir K 40·—, 50·—, 60·—. Budziki i zegary ścienne w wielkim wyborze. 3 letnia gwarancya. Wysyłka za zaliczką. Zamiana dozwolona lub zwrot pieniędzy.

Klisze cynkowe i fotografie

z każdego numeru odsprzedaje

Administracya Nowości Illustrowanych

Mimo wojny i kolosalnej drożyzny sprzedaje firma

IGNACY CYPRES,

KRAKÓW, ulica Szewska 13/51



towary po nadzwyczajnie tanich cenach. 1 Brytania Anker-Remont. system Roskopf, 36 godz. idący, z łańcuszkiem kor. 12·50. Ameryk. elektr. złoty Remont. syst. Roskopf 36 godz. idący, z pięknym łańcuszkiem kor. 13·50. Srebrny Roskopf o 3 kopert., bardzo silny kor. 33 —. Stalowy damski Remont. kor. 21·—. Budzik najlepszy kor. 11·—. Łańcuszki srebrne od kor. 5·—. Harmonie od kor. 12· do 50·—. Skrzypce ze smyczkiem od kor. 14 do 50.

Cenniki darmo i opłatnie.



500 koron

płacę każdemu, jeżeli

— nagniotki —

brodawki, skórę zrogowaciałą nie usunie w trzech dniach z korzeniami bez bólu **Ria-Balsam.** Cena 1 słoika z listem gwarancyjnym K 1·75, 3 słoiki K 4·50, 6 słoików K. 7·50. Tysiączne listy z uznaniem i wdzięcznością.

Kemeny, Koszyce (Kassa), I. fach pocztowy 12—383, Węgry.

Założony w roku 1900!

Po drodze do Zakopanego

Założony w roku 1900!

lub wracając, najlepiej zaopatrzeć się można w wszelkie

ubiory męskie

wykonywane na specyalne zamówienia podług miary

W ZWIĄZKU KATOL. KRAWCÓW

W KRAKOWIE, Floryańska 7. — WE LWOWIE, Plac Halicki 7.

Doborowe materyały na składzie w wielkim wyborze.

Suknie dla Przewielebnego Duchowieństwa sporządzają fachowi specyaliści. (Na zapas do składu wyrabiane są ubrania gotowe o ile na to obecne stosunki wojenne zezwalają).

Już wyszedł

Album Legionów Polskich

Zeszyt I.

Cena 2 korony.

Do nabycia w Administracyi „Nowości Illustrowanych“.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.